



FUNDACJA

Moje Wojenne Dzieciństwo



Henryk Kajtel

Wojna w mojej pamięci

Ziemia zamojska to region, który w latach okupacji hitlerowskiej 1939-1944 skupiał na sobie powszechną uwagę całego narodu. Tu bowiem istniało największe zagęszczenie ruchu oporu różnych opcji politycznych, jak też partyzantki radzieckiej. Predysponowały ją do tego:

- a) specyficzne ukształtowanie terenu – górki, pagórki, doliny i wąwozy Roztocza,
- b) duże kompleksy leśne (Lasy Janowskie i Puszcza Solska) dające doskonałe schronienie licznym oddziałom partyzanckim,
- c) rolniczy charakter regionu, co w dostatecznym stopniu rozwiązywało kwestię zaopatrzenia partyzantów w żywność,
- d) główna arteria komunikacyjna kolei prowadząca na wschód.

Zasadniczym jednak czynnikiem kwalifikującym Zamojszczyznę do roli regionu historycznego było specjalne jego przeznaczenie przez Niemców na wschodzie. Chciano tu bowiem stworzyć część niemieckiego pasa osiedleńczego, biegnącego od krajów bałtyckich do zamieszkanego przez kolonistów niemieckich Siedmiogrodu. Miał on wziąć w kocioł ludność polską zamieszkałą na zachód od tego pasa (centralne ziemie kraju) oraz stanowić bazę wypadową dla germanizacji Ukrainy i Białorusi. Region zamojski miał stanowić swoisty poligon doświadczalny – owo nadzwyczajne laboratorium SS (Sonderlaboratorium). Bezpośrednim inicjatorem tego planu był dowódca SS i policji w dystrykcie lubelskim Odillo Globocnik. To on właśnie skłonił wizytującego w lipcu 1941 roku Heinricha Himmlera do uznania tego miasta i jego okolic za „czysto niemiecki obszar osadniczy” oraz do przygotowania w związku z tym planu wielkiej akcji wysiedleńczej Polaków z tego obszaru. Himmler skwapliwie na to się zgodził i wydał specjalną dyrektywę w sprawie realizacji tego przedsięwzięcia: „Akcja poszukiwania niemieckiej krwi – stwierdził – będzie rozszerzona na całe Generalne Gubernatorstwo, a przy niemieckich koloniach w okolicach Zamościa zostanie utworzony wielki teren osiedleńczy. W celu jak najszybszego nadania tym okolicom czysto niemieckiego charakteru należy jak najprędzej przystąpić do utworzenia gospodarstw niemieckich i podjęcia uprawy roli”. Tyle głosiła dyrektywa Himmlera. Gorliwi wykonawcy na czele z Odillo Globocnikiem przystąpili do wcielania jej w życie. Cały ten region przejęła cywilna administracja (aparatus Generalnego Gubernatorstwa) oraz SS i policja. Pierwszym nieodzownym krokiem, jaki uczyniono, aby wykonać postawione zadanie, było nasycenie regionu siłami represji, tj. policji, gestapo i specjalnej służby bezpieczeństwa. W Zamościu oprócz ekspozytury policji, służby bezpieczeństwa i gestapo zlokalizowano ponadto ponadpowiatową komendanturę żandarmerii, która nadzorowała sieć posterunków policji w terenie. Tak liczne siły wzmocniono jeszcze dodatkowo oddziałami policji ukraińskiej i przedwojennej polskiej policji granatowej oraz tzw.

Selbschutzu, czyli policji rekrutującej się z miejscowych Niemców i osadników niemieckich. Nasycenie obszaru Zamojszczyzny siłami policji, policji pomocniczej oraz wojskami było więc olbrzymie. Miały one służyć jednemu celowi: wcielaniu w życie dyrektywy Himmlera.

Następnym etapem realizacji planu osadnictwa niemieckiego na Zamojszczyźnie były pacyfikacje wsi i zakrojone na szeroką skalę wysiedlenia ludności zamieszkałej na tych terenach. Specjalnie powołane do tego agendy przystąpiły do badania ludności polskiej pod względem antropologicznym, pochodzenia, niemieckiego brzmienia nazwisk. Wszędzie szukano niemieckiej krwi, aby powiększyć maksymalnie liczbę Folksdojczów. Przygotowano plany przyjęcia i komasacji gruntów, typowano do osadnictwa odpowiednie wioski, wybierając co bogatsze, oceniając stan budynków, inwentarza, urodzajności gleby itp.

Poczynania Niemców były stopniowe i systematyczne, niemalże pedantyczne. Najpierw zaczęto likwidować inteligencję i duchowieństwo, aby pozbawić naród siły duchowej i patriotycznej. Następnie zabrano Żydów, stawiając tzw. kwestię żydowską. Gdy już uporano się z tym jako tako, rozpoczęła się wielka akcja wysiedleńcza Zamojszczyzny, nie mająca sobie równej w innych regionach kraju, ani w całej okupowanej Europie. Nocą otaczano wsie, spędzano wszystkich mieszkańców na wybrany plac, często mordując przy tym niedołączonych starców, dzieci lub stawiających opór i przeprowadzano segregację. Część osób przeznaczono do zniemczenia. Dotyczyło to dzieci. Część ludzi kierowano do obozów przesiedleńczych lub koncentracyjnych, innych do pracy na miejscu w charakterze parobków, jeszcze innych do wsi położonych daleko od regionu zamieszkania, przeważnie w dystrykcie warszawskim. W obozach przesiedleńczych odłączano starców i wywożono ich w głąb kraju lub do innych obozów, celem likwidacji fizycznej poprzez wycieńczenie. Osoby w pełni sił i zdrowe najczęściej wywożono do Rzeszy na przymusowe roboty.

Dzieci przeznaczano najczęściej do wywozu w głąb Rzeszy celem zniemczenia lub do pracy, traktując je jako bezpłatną siłę roboczą w przyszłości, gdy dorosną, a te, które odznaczały się cechami nordyckimi, selekcionowano w celu zgermanizowania. W późniejszym okresie, tj. w połowie 1943 roku pacyfikacja Zamojszczyzny osiągnęła swoje apogeum. Nie było wioski, której by nie pacyfikowano. Niektóre nawet po kilka razy, a inne niszczone i palono doszczętnie. Najbardziej ucierpiały wsie leżące pośród lasów. Niemcy po wielokroć otaczali je wielkimi siłami policyjnymi, gestapo oraz wojskiem dokonując masowych aresztowań mieszkańców. Część z nich likwidowano na miejscu, pozostałych wywożono do obozów przesiedleńczych w Zwierzyńcu i Zamościu. Ze szczególną zjadłością i determinacją niszczone i palono oraz pacyfikowano te wioski, które uważano za bastiony bandytyzmu, jak Niemcy nazywali ruch partyzancki. Na miejsce wysiedlonych Polaków przewożono kolonistów niemieckich lub osoby pochodzenia niemieckiego prawie z całej Europy. Do wiosek uznanych za szczególnie niebezpieczne nasiedlono Ukraińców, zwożonych z różnych terenów. Chodziło o to, aby usunąć Polaków i w ten sposób pozbawić ruch partyzancki naturalnego zaplecza. Miało to ułatwić jego likwidację. Ponieważ większość partyzantów wywodziła się z chłopów, uniemożliwiało to zasilanie leśnych oddziałów.

Tragedia Zamojszczyzny wstrząsnęła całym krajem i była na ustach wszystkich. Na dworcach kolejowych w pobliżu obozów, tak w Zwierzyńcu jak i w Zamościu, gromadziła się ludność polska, ratując i zabierając przez druty niektóre dzieci, przygarniając je do swoich rodzin. Matki jednak tylko sporadycznie decydowały się na oddanie swojego dziecka. Większość zatrzymywała je przy sobie.

Bardzo ostro zareagował na niemiecką akcję terroru ruch podziemny. Oddziały partyzanckie atakowały zasiedlone wsie niemieckie, niszcząc je i zabijając lub przepędzając kolonistów. Wioski polskie, które jeszcze się ostały, były bronione przez partyzantów. W odpowiedzi na szalejący terror okupanta wybuchło na przełomie roku 1943/44 wielkie powstanie zamojskie w obronie pozostałej jeszcze ludności cywilnej. Niemcy poczuli się zagrożeni. Pod wpływem tych wydarzeń, a głównie klęski pod Stalingradem, a także destrukcji, jaka powstała w całym regionie zamojskim w sferze ekonomicznej, akcja wysiedleńcza została zahamowana. My jednak – mieszkańcy wsi Paary, położonej pośród lasów Puszczy Solskiej w gminie Pasiaki, byliśmy już wtedy w obozie przesiedleńczym w Zamościu.

Akcja wysiedleńczo-pacyfikacyjna na Zamojszczyźnie ogarnęła około 300 wsi i gromad, dotknęła około 110 tys. osób, w tym około 30 tys. dzieci. Los tych dzieci był tragiczny. Trudno sobie wyobrazić koszmarnie, makabryczne sceny z ich życia w obozie w Zamościu, podczas selekcji ludności, segregowania więźniów, strasznych warunków, jakie tam panowały (baraki, wszy, pluskwy, głód, ciasnota i lipcowy upał). Były również i takie przypadki, że siłą odbierano rodzicom ich dzieci powyżej dwóch lat i umieszczano w oddzielnych barakach bez żadnej opieki, bez pożywienia, w strasznych warunkach lokalowych (baraki). Co wówczas przeżywali rodzice? A co same dzieci, wyrwane przemocą z objęć matczynych? Pisk, płacz i lament! Wrzaski i świsty pejców i gumowych pałek Niemców. Nie! Tego lepiej nie wspominać, nie przeżywać powtórnie. Ale pisać trzeba, trzeba uświadamiać naszym dzieciom i naszym wnukom, co przeżyliśmy w czasie wojny, czym jest wojna dla każdego narodu.

Spacyfikowanych wsi na Zamojszczyźnie było, jak już wspomniałem, około 300. Ja pochodzę z jednej z nich. Nazwa mojej wsi rodzinnej – Paary – prawdopodobnie pochodzi stąd, że często nad nią

unoszą się mgły, opary, powietrze jest wilgotne od rzeki. Leży ona na skraju Roztocza, nad doliną rzeki Tanwi. Jest stosunkowo duża i taką była też w czasie wojny. Liczyła wówczas ponad 200 gospodarstw i około 1000 mieszkańców. Z trzech stron otaczają ją bezpośrednio lasy Puszczy Solskiej, a od północy pas pól uprawnych długości 1,5 kilometra. Od strony wschodniej graniczy ze wsią Narol Wieś, od strony zachodniej styka się z lasem. Historia wsi sięga okresu zaborów. Przebiegała tędy granica austriacko-rosyjska. Stała tu strażnica rosyjska, w której po odzyskaniu niepodległości mieściła się szkoła – aż do czasu, kiedy wybudowano nową. Ludność miejscowa w owym okresie nazywała Rosjan – wówczas żołnierzy carskich – Moskalami. Mój dziadek całymi wieczorami opowiadał, jak nocą przedzierał się nieraz do Galicji, przenosząc wódkę w pęcherzach świńskich. Robiło to wówczas wielu ze wsi. We wrześniu 1939 roku stoczona została tu ciężka bitwa żołnierzy 6 Dywizji Piechoty generała Bernarda Mondy i 12 pułku piechoty pułkownika Mariana Strażycy z przeważającymi siłami wojsk niemieckich. Wieś nasza w czasie II wojny światowej przeżyła trzy pacyfikacje: 12 grudnia 1942 roku, 24 czerwca 1943 roku i najboleśniejszą 29 czerwca 1943 roku.

Wybuch wojny

Wrześniowy dzień był ciepły, prawie upalny. Słońce przypiekało dotkliwie. Pulchne, białe gęsi siedziały akurat na drodze, więc musiałem ominąć je z daleka, bo bałem się, gdy wyciągały swoje długie szyje i syczały.

– A czegoż ty tu stoisz pod płotem i nie idziesz do przedszkola? – zapytała ciotka Zośka.

– Bo ja nie pójdę do przedszkola! Ja nie chcę! Ja nie lubię chodzić do przedszkola! – wykrztusiłem.

Sklep mieścił się w jednej izbie wynajętej u gospodarza. Na dworze i w sieni stały sterty drewnianych skrzynek na jajka. W sklepie tym sprzedawali moi rodzice.

Matka przeprowadziła mnie kawalek drogi, dalej miałem już iść sam. Ale nie poszedłem. Janek, Władek, Hanka i Bronka zostali w domu. Nikt im nie kazał chodzić do przedszkola. Rodzice zapewnili mi właściwą opiekę, aby sami mogli spokojnie pracować, nie myśląc co robi ich dziecko. Wtedy, mając zaledwie 5 lat uważałem, że mnie krzywdzą, że powinienem bawić się z dziećmi w domu. A w przedszkolu trzeba było spać. Nie byłem przyzwyczajony do spania w dzień. Zresztą moi rówieśnicy też nie spali, ale bawili się.

– Idź no tam Ewka! Zobacz! Twój Heniek stoi pod płotem i płacze. Mówi, że nie chce iść do przedszkola. A jego majtki...

– Nogi trzyma tak szeroko, że na krok się nie ruszy – powiedziała ciotka Zośka do mamy.

Zrobiłem to celowo, żeby wrócić do domu. Wiedziałem, że matka zaprowadzi mnie z powrotem do domu, bo musi mnie umyć i przebrać w czyste ubranie. Już po kilku chwilach zobaczyłem ją idącą od strony sklepu w moim kierunku. Dziś jestem górą, dziś ja wygrałem, ale co będzie jutro, pojutrze? – zastanawiałem się.

Nazajutrz nikt nie kazał mi iść do przedszkola. Wcześniej rano ojciec mnie obudził.

– Wstawaj! – zawołał – Ubieraj się! Musimy uciekać.

Nie rozumiałem, dlaczego mamy uciekać i nie wiedziałem dokąd. Matka nastawiła wodę na kuchni i ugotowała kilkanaście jajek na twardo. W pośpiechu złapała kawalek chleba, jajka włożyła do koszyka. Ojciec wziął mnie na ręce. Razem wybiegli na dwór. Tu już było słychać gęstą strzelaninę. Jakiś żołnierz głośno wykrzykiwał: „Uciekać ze wsi! Uciekać w pole!”

Uciekaliśmy pod górę, za górę, do rowów. Tam ojciec z dziadkiem szybko kopali dół, a mama i babka szamotały się z krowami i z koniem, które przestraszone wystrzałami i wybuchami pocisków armatnich nie chciały iść. Poganiane kijem i batem pobiegły jednak pod górę.

Nareszcie dół był gotowy. Głęboki na około 1,5 metra i szeroki około 2 metrów. Krowy i koń zostały przypięte na przyponach, a my schowaliśmy się wszyscy w wykopie. Dzień był nad podziw piękny, słońce wznosiło się na horyzoncie. Robiło się coraz cieplej. Babka od czasu do czasu wyglądała, czy krowy i koń się pasą. Przerywała w tym czasie modlitwę, którą wszyscy głośno odmawiali: „Ojcze nasz”, „Zdrowaś Mario” i „Pod Twoją obronę”. Raz po raz padały pociski artyleryjskie na pola, na wioskę. Płonęły zabudowania Kudybów i Bondyrów. Serie karabinów maszynowych terkotały zajadłe to w środku, to na skraju wsi. Od czasu do czasu wybuchały pojedyncze granaty. Snajperzy wyszukiwali cele i strącali pojedynczych niemieckich obserwatorów, którzy spadali z drzew niczym dojrzałe gruszki. Po polach gdzieś tam, przeważnie na miedzach i przy drogach, rosły pojedyncze drzewa – grusze lub jabłonie, które sadzono specjalnie, aby wyznaczały granice działek. Na tych to drzewach, jako że rosły one na najwyższych punktach, usadowili się obserwatorzy.

– Panie kapitanie – zwrócił się kapral Józef Zabyłski do swojego dowódcy, kapitana Mierzwińskiego – coś mi błysnęło w słońcu na gruszcze pod górą. Może tam siedzi szwabski obserwator?

Kapitan przyłożył lornetkę do oczu, długo patrzył, wreszcie odłożywszy ją, powiedział:

– Rzeczywiście coś tam ciemnieje. Zobaczcie no kapralu. Kapral Zabyłski wziął z rąk dowódcy lornetkę.

– Ani chybi, panie kapitanie, tam jest zamaskowany Szwab.

– Kapralu, niech się tu szybko zamelduje szeregowy Mrugała ze swoim karabinem – rozkazał Mierzwiński.

Kapral natychmiast zniknął w zabudowaniach wioski. Po kilku minutach szeregowy Mrugała stanął przed dowódcą.

– Szeregowy Mrugała, widzicie to drzewo tam pod górą?

– Widzę, panie kapitanie.

– To przypatrzcie się mu lepiej – powiedział kapitan, wręczając żołnierzowi lornetkę.

– Toż to szwabski obserwator, panie kapitanie! – wykrzyknął Mrugała.

– Ano właśnie. Trzeba go zdjąć z drzewa – rozkazał kapitan. – Ale od pierwszego wystrzału.

Żołnierz trzasnął obcasami i energicznie zaszalutował, szybko oddalając się w stronę zabudowań. Wszedł do stodoły Myszkowskich, wdrapał się na górkę, gdzie była słoma, położył się wygodnie, lufę karabinu wsadził pomiędzy deski przyczółka i czekał, aż Niemiec się poruszy. Po chwili dał się słyszeć pojedynczy trzask karabinu, a z gruszki osunęło się ciało niemieckiego obserwatora. Mrugała szybko ześlizgnął się na boisko i wyskoczył ze stodoły na podwórze, a następnie susami i skokami pobiegł w kierunku lasu. Nie minęło parę chwil, jak zapalający pocisk artyleryjski buchnął w stodołę, która kryta słomianym poszyciem stanęła w płomieniach. Nad wioską unosiły się ciemne chmury dymów i nieprzyjemny zapach spalenizny. Psy, których w pośpiechu nie zdążono pospuszczać z uwięzi, głośno wyły i ujadły.

Słońce chyliło się już ku zachodowi, gdy kanonada zaczynała powoli cichnąć. Posiedzieliśmy jeszcze jakiś czas, aż zupełnie się uspokoiło. Wtedy dziadek wyszedł z dołu i rozejrzał się po polach. Pourywane z przyponów bydło pasło się to w ziemniakach, to w koniczynach. Niektórzy gospodarze wyłazili z dołów obserwując okolicę. Ten i ów powoli, chyłkiem przemykał się w kierunku wsi. Dziadek powiedział:

– Siedźcie tu, a ja pójde zobaczyć, co się dzieje.

Wrócił po jakimś czasie oświadczając, że we wsi nie ma żywego ducha, ani Niemców, ani Polaków.

Było już pod wieczór, kiedy wróciliśmy do wsi. Ludzie biegali jakby oszaleli, jedni w tę, inni w tamtą stronę, przestrzeni i zropaczeni zniszczeniami. W lesie i na podwórkach znajdowano wielu rannych i zabitych żołnierzy, tak polskich, jak i niemieckich. Zabitych znoszono i układano w rzędzie jeden obok drugiego, wyjmowano im z kieszeni dokumenty, różne osobiste przedmioty, numerki, zdjęcia i to wszystko kładziono im na piersiach. Wielu było takich, których trudno było zidentyfikować – nie mieli nic przy sobie. Wtedy sołtys pisał kartkę: „nieznany”. Wielu było tak zmasakrowanych, rozszarpanych wybuchami granatów i pocisków artyleryjskich, że też nie sposób było ich rozpoznać. Wtedy zbierało się poszczególne części ciała, układało obok siebie i również pisało „nieznany”. Rannych przenoszono na zgrzebnych płachtach lub kocach i umieszczano w poszczególnych domach. Jeden, pamiętam, był tak ranny, że wnętrzności leżały na ziemi. Prosił, żeby go dobić, ale nie było komu, sam więc ostatnim wysiłkiem odbezpieczył granat i podłożył pod siebie. Ludzie rozbiegli się w panice. Rozległ się wybuch. Ciało tego człowieka rozleciało się na strzępy. Pozbierano je później i poukładano obok innych. Wszystkich zabitych pogrzebano razem w lesie. Ogrodzono to miejsce. Później urządzono tam cmentarz wojskowy. Co roku porządkowaliśmy te groby, robiliśmy wianki i lampioniki, szkoła opiekowała się tym cmentarzem, aż do ekshumacji niektórych ciał, po które zgłosiła się rodzina. Pozostałe przeniesiono na cmentarz cywilny. Ranni, którzy mieli lżejsze rany, zostali odwiezieni do szpitala powiatowego w Tomaszowie Lubelskim i tam byli leczeni. Natomiast większość ciężko rannych zmarła. Zostali pochowani na tym samym cmentarzu, co zabici.

Bezgraniczną ofiarność i poświęcenie w ratowaniu życia rannych żołnierzy wykazywały miejscowe nauczycielki: Zofia Jakubowska i Maria Szeryńska, które dniem i nocą ciągle przebywały przy rannych, zmieniały opatrunki, dezynfekowały rany, słowem robiły wszystko, co było w ich mocy. Im to należy się największe uznanie za poświęcenie, za patriotyzm, za humanitaryzm. Zresztą jeszcze i w późniejszych dziejach wojny okazały się prawdziwymi, oddanymi patriotkami. Z narażeniem własnego życia ratowały innych. Szkoła i ich mieszkania były izbą przyjęć, przychodnią i szpitalem, a one same stanowiły niezastąpiony personel medyczny.

Sklep

Dom nasz był zwykłą chałupą, jakich w tym czasie wiele było na wsi. Postawiony był jednak inaczej niż inne chaty, mianowicie tzw. przyczółkiem do drogi – ze względu na to, że działka była bardzo wąska. Tuż przy ścianie, przy oknie wychodzącym na drogę rosła średniej wielkości grusza. Była ona siedliskiem wróbli, szpaków i innych ptaków, które w koronie jej gałęzi wiodły nieprzerwane kłótnie. Zimową porą wywieszaliśmy na gałęziach skórki ze słoniny, a do karmnika sypaliśmy okruchy chleba

i nasiona różnych zbóż. Ile było przy tym wrzawy i bólek, szczególnie ze strony większych konsumentów, takich jak sójki, sroki i wrony. Cieszyłem się przy tym ogromnie, śmiejąc się i chichocząc, aż czasami rodziców wprawiałem w weselszy nastrój. Chociaż na chwilę, na krótko zapominali, że jest wojna, że jest ciemna noc okupacji. Ludzie w tym czasie przeważnie byli przygnębieni, przestraszeni, mało się weselili.

Dom zbudowany był jak wszystkie chałupy z grubych drewnianych bali, zwanych brusami, kryty słomianą strzechą. Najpierw wchodziło się do pomieszczenia zwanego sienią. Tu stały wiadra, stołek, ławka, beczka z kapustą, pełno było najprzeróżniejszych rzeczy, mnóstwo drobiazgów i łachów, jak nazywano starą odzież. Największą część sieni zajmowały drewniane skrzynki na jajka. Z sieni wchodziło się do dużego pomieszczenia zwanego chałupą. W kącie stała duża kuchnia z kapą, na niej kilka żeliwnych baniaków do gotowania stawy dla ludzi, kur i świń. Na dużym wygrzewalniku suszyło się nasiona gryki na krupy, prosa na jagły i pszenicy oraz jęczmienia na pęczak. Najczęściej jednak wygrzewalnik służył do spania dla ludzi starych, babki czy dziadka oraz do zabawy dla dzieci. Obok kuchni przy wygrzewalniku stała sofka. Był to sprzęt, który na dzień się składało – służył wtedy do siedzenia, na noc zaś był rozkładany i można było na nim spać. Dzieci najczęściej jednak spały na piecu. Dalej przy oknie stał duży stół, przykryty białym lnianym obrusem, a głęboko pod ścianą – drewniane łóżko. Prawą część chałupy, prawie jedną trzecią jej powierzchni, zajmował sklep. Była tu duża, szeroka lada, a za nią półki na towary, skrzynki z jajkami, worki z solą i beczka z naftą.

W sklepie handel odbywał się przeważnie systemem wymiennym. Wszystko prawie kupowano za jajka, mało kto przychodził z pieniędzmi. Nabywano głównie artykuły pierwszej potrzeby: sól, naftę, kawę zbożową, cykorię, zapalki oraz wiele innych drobiazgów, których już nie pamiętam. Za 2 jajka dostawało się nafty na grubość zapalniczki, a za 6 jajek – na szerokość zapalniczki. Soli kupowano pół kilo, czasami kilogram, kawę – na sztuki w formie większych pastylek. Do słodzenia służyła sacharyna, gdyż w czasie wojny cukru było bardzo mało albo w ogóle go nie było. A ponadto był drogi.

Sprzedawcami w tym sklepie, jak tylko mogę sięgnąć pamięcią wstecz, zawsze byli moi rodzice. Oboje zajmowali się handlem i z tego się utrzymywali. W tym czasie sklep był głównym miejscem spotkań ludzi z całej wsi. Tylko część osób coś kupowała – przeważnie kobiety. Mężczyźni natomiast przeważnie przychodzili, aby posiedzieć, popalić, pogawędzić, a co najważniejsze – bezpiecznie spędzić wieczór. Od zmroku do świtu pełniona była warta. Dwóch chłopów chodziło z jednego i z drugiego końca wsi do środka. Spotykali się koło sklepu, wymieniali hasło, rozmawiali w ustronnym miejscu, palili skręty i rozchodzili się z powrotem. Tak było zawsze, co noc. Dzięki temu ludzie byli pewniejsi, że nic im nie grozi, nikt i nic ich nie zaskoczy.

W sklepie w porze wieczornej siedziało zawsze mnóstwo chłopów – na sofie, na ławkach, na stołkach i stołeczkach, które nieraz przynosili ze sobą z domu. Kopcili te swoje skręty, że aż siwo było od dymu, więc matka często musiała otwierać drzwi lub okno. Niektórzy coś tam kupowali za drobne grosze, większość natomiast prowadziła zażarte dysputy na różne tematy. Każdy starał się przedstawić swoje racje, uważając, że tylko jego wywody są rzeczowe i mądre. Wielu grało w karty: jedni w tysiąca, inni w durnia, jeszcze inni, którzy mieli w kieszeni pieniądze, w ferbla. Była to gra hazardowa, zbliżona do pokera, wywołująca największe emocje. Tu się wygrywało bądź przegrywało pieniądze. To też gromadziła ona najwięcej kibiców. Bardzo często dochodziło do sprzeczek, a nawet i do kłótni. Bywało, że gra toczyła się całą noc, aż do białego dnia, a czasami przez cały następny dzień i noc. Z każdej wygranej puli odkładano pewną sumę na naftę i na pożywienie. Kobiety tych sfanatyzowanych „zawodników” wpadały niekiedy z furją, złorzecząc i wyzywając swoich mężów od najgorszych.

– Dzieciom nie ma za co butów kupić, na chleb i sól brakuje, a ty tu siedzisz i przegrywasz ostatnie grosze! – krzyczały.

Zdarzało się, że baba była twarda i nieustępliwa. Wtedy przerywano grę i rozchodzono się do domów, przy dużym zdziwieniu wolnych słuchaczy i obserwatorów.

Odbывały się i inne rozgrywki, szczególnie w gronie młodych. Tu w modzie był tzw. „dupak”. Jeden siedział na krześle, drugi kładł mu głowę na kolana, zasłaniając sobie jednocześnie oczy. Reszta stała półkolem i któryś z nich uderzał go z całej siły w tylną część ciała. Jego zadaniem było po podniesieniu się z kolan odgadnąć, kto go uderzył. Jeżeli odgadł, uderzający zajmował jego miejsce i z kolei on czekał na uderzenie. W gronie stojących namawiano się, porozumiewano się na migi, kto ma uderzyć. Kto nie umiał odgadnąć sprawcy uderzenia, często wyskakiwał ze sklepu i biegł do domu.

Pewnego razu zdarzyło się, że właśnie taki pokrzywdzony włożył pod spodnie kawałek deski. Ten, który go uderzył, solidnie potłukł sobie rękę. Wybuchła awantura, ale ojciec szybko ją zażegnał, wyrzucając obu chłopców za drzwi na podwórko. Tu mogli wyrównać swoje krzywdy i porachunki za „dupak”.

Jak sobie przypominam, każdy wieczór przynosił jakieś nowe wydarzenia, inne momenty, inne sytuacje, mimo że wszystkie wieczory przez okres całej okupacji były podobne do siebie. Były podobne, a jednak trochę inne.

Niektórzy zmęczeni całodzienną pracą w polu, w lesie czy w stodole przy młóceniu zboża, usiadłszy na sofie czy ławie, zasypiali smacznym snem. A i dla tych wymyślano różne zabawy. Nieraz malowano

im twarzę węglem drzewnym z pieca lub sadzą, a także pastą do butów, co wzbudzało dużo śmiechu. Inni śpiąc głośno chrapali, mając jednocześnie gębę otwartą. Tym sypano do ust amoniak lub sól. Delikwent natychmiast budził się, bo się dusił, kaszlał i kichał. Wyskakiwał na dwór przy chóralnym śmiechu pozostałych. Długo się śmiano, dyskutowano, rozprawiano, ten zaś wróciwszy do środka obiecywał, iż następnym razem się zrewanżuje, jak tylko się dowie, kto mu to zrobił.

Leon

Najwięcej radości wszystkim ludziom we wsi, a szczególnie młodzieży, sprawiał Leon. Był to chłopiec już zupełnie dorosły, liczący około 25-28 lat. Miał ręce i nogi 12-letniego dziecka, natomiast głowę, a zwłaszcza uszy – nieproporcjonalnie duże, co przy jego wątłej postaci wyglądało szczególnie śmiesznie. Właśnie te duże, gładkie uszy – bez żadnych fałd i wgłębień, płaskie jak liście kasztanowca, były obiektem częstego zainteresowania młodzieży. Miały też duży wpływ na życie i byt Leona. Był on namiętym palaczem. Za papierosa lub odrobinę machorki pozwalał z siebie drwić. Niekiedy wręcz znęcano się nad jego drobną, mizerną postacią. Często zakładał się z chłopakami, że za paczkę machorki czy 10 papierosów wypije określoną ilość wody. Ze szkodą dla swego wątłego zdrowia wypijał 20,25, a nawet 30 szklanek wygrywając zakład. Stawał się wtedy niemal bohaterem. Nikt takiego czynu nie mógł dokonać, a jemu się udało! On – mały, skrzywdzony przez naturę człowiek dokonywał czegoś, czego jego rówieśnicy, zupełnie zdrowi, prości, wyrośnięci – nie potrafili. Wyrastał jak gdyby ponad nich, wzbudzał podziw, stawał się lepszy od nich. Kiedy indziej wypalał kolejno jeden za drugim 10-15 papierosów, za każdym razem głęboko zaciągając się dymem. Skutki tego były oczywiste. Często pijany od dymu, zamroczony, padał na podłogę wymiotując.

Leon pracował niedaleko swojej wioski jako robotnik w kamieniołomach. Tam straż niemiecka, nie mając czym się zająć, zabawiała się dla rozrywki jego uszami. Silne ręce niemieckich drabów bezlitośnie zaciskały się na jego uszach, starając się oderwać jego głowę od ściany. Bezskutecznie. Palczyska ześlizgiwały się z uszów, głowa ani drgnęła. Zapisywano mu wtedy dniówkę i Leon po kilku godzinach wracał do domu.

W którejś kolejnej akcji pacyfikacyjnej Leon został aresztowany i wywieziony do obozu koncentracyjnego na Majdanku. Wszelki śluch o nim zaginął. Nigdy już nie wrócił. Wyszedł kominem krematorium. I tak zakończyło się krótkie życie Leona.

Sowieci

Jesienią 1941 roku ruch kolejowy na trasie Zawada-Bełzec-Lwów i dalej na wschód bardzo się nasilił. Pociągi kursujące w tym kierunku były pełne wszelkiego rodzaju sprzętu wojskowego. Ciężko sapały i buchały czarnym dymem parowozy ciągnące długie składy wagonów z czołgami, samochodami, działami wszelkiego kalibru i olbrzymimi skrzyniami, wypełnionymi zapewne różnego rodzaju amunicją i inną bronią. Często za ciężko było jednej lokomotywie, więc z tyłu doczepiano drugą. Olbrzymia machina wojenna zdążyła na wschód, miazdząc i tratując wszystko po drodze: pola, wioski, osady i miasta. Pasając krowy w lesie zwanym „Bankówka” widywaliśmy te transporty. Większość z nich jednak jechała nocą, aby ukryć się przed wzrokiem niepożądanych osób. W drodze powrotnej te same składy wypełnione były po brzegi jeńcami radzieckimi, których tysiące wieziono na zachód.

Od kilku dni krążyły pogłoski, że w lesie ukrywają się jacyś nieznanymi mężczyźni. Ludzie mówili, że są to sowieccy jeńcy wojenni. Baliśmy się zatem gnać krowy do lasu. Pasaliśmy je z rana na polach, a po południu na łąkach i w lesie przyległym do wioski. Co odważniejsi chłopcy, chcąc zaspokoić ciekawość, zapuszczali się jednak dalej do lasu, aby się przekonać, czy krążące pogłoski o rosyjskich jeńcach są prawdziwe. No i okazało się, że tak. Spotkali ich w lesie. Byli bardzo głodni, zziębnięci, bo zaczęły się już jesienne przymrozki, często bez mundurów, a tylko w samych koszulach. Prosilili o jedzenie i jakąś odzież. „Kuszat, kuszat” – mówili, pokazując jednocześnie na usta, więc chłopcy na razie jeszcze w tajemnicy przed rodzicami, przynosili im chleb, ziemniaki, cebulę oraz machorkę i bibułkę. Wtedy tamci wypytywali ich, czy we wsi nie ma Niemców, czy jest spokój. Upewniwszy się o tym, sami wysyłali zwiad do wioski. Nocami bardzo ostrożnie przychodzili do domów, prosząc o produkty żywnościowe, cieplejszą odzież, tytoń i zapalki. Otrzymywali to wszystko i pod osłoną ciemności z powrotem wycofywali się do lasu. Przekonawszy się jednak, że ludność jest im życzliwa, coraz częściej i coraz gromadniej przychodzili do wioski już nie tylko w nocy, ale i w dzień. Po pewnym czasie niektórzy gospodarze zaczęli przyjmować ich do pracy w charakterze parobków. W końcu wszyscy z lasu przenieśli się do wsi, zatrudniając się u gospodarzy, którzy potrzebowali rąk do pracy. Tak sowieci przeżyli jesień i zimę.

Nadchodziła wiosna. Gospodarze wychodzili w pole z pracami wiosennymi, a więc i oni wykonywali te same prace. Zapłątą był dach nad głową, utrzymanie, ubranie. W ciągu paru miesięcy zdążyli zapoznać się z ludźmi, uczestniczyli w życiu wioski, nawiązywali kontakty przyjacielskie i towarzyskie. Niektórzy zaczęli opuszczać swoich gospodarzy i przenosili się do samotnych wdów lub panien, które darzyły ich względami. I tak pokojarzyły się pierwsze, a potem dalsze pary. Wszystko toczyłoby się sielsko, gdyby nie świadomość, że jest wojna. Ta myśl przygniatała wszystkich do ziemi, sprowadzała do okupacyjnej rzeczywistości. Niemcy coraz częściej pojawiali się we wsi, trzeba było się ukrywać, a często i uciekać do lasu.

Pamiętam do dziś tych ludzi. Przychodzili do sklepu, uczestniczyli w rozmowach i zabawach, o których już wspominałem. Byli to weseli mężczyźni, często się śmiali, tańczyli swoje kozaczki i drapaki. Byli jakoś tak dziwnie poznawani: Tatar Wielki, Tatar Mały, Oleszko, Grisza, Siergiej, Archimbeka. Jeden miał zupełnie polskie imię: Jan. Był najbardziej okazały wzrostem i wyróżniał się spośród innych. Był chyba jakimś przywódcą, bo wszyscy czuli przed nim respekt, darzyli go szacunkiem i słuchali się go.

Dokładnie nie pamiętam kiedy, ale było to gdzieś w końcu 1942 roku – sołtys oznajmił wszystkim, u których przebywali jeńcy, że muszą ich zgłosić, zameldować w gminie i na policji, bo w razie niewykonania polecenia będzie zastosowana kara. A kara w czasie wojny była jedna – śmierć. Wobec takiego ultimatum gospodarze zaczęli zwalniać Sowieców z pracy. Ci z kolei nie mieli innego wyjścia, jak tylko pójść do lasu, do partyzantki. Tym bardziej, że w tym czasie działały już oddziały polskie i radzieckie. Nie wiem skąd wzięli broń i amunicję, ale w krótkim czasie większość z nich była już uzbrojona. Nie było to jednak broń i amunicja zdobyta na okupantach, gdyż nie słyszano w okolicy o żadnych ich akcjach bojowych. Pochodziła najprawdopodobniej od chłopów, którzy po bitwie w 1939 roku pod Paarami pozbiali ją i pochowali na „lepsze czasy”. Później często służyła Sowiecom dla postrachu, jako „argument” przeciwko tym, którzy niedawno byli ich dobroczyńcami, a obecnie stali się jacyś obcy, dalecy, nieufni. Wszystko to wynikało z surowych zakazów okupanta udzielania im jakiegokolwiek pomocy.

Ojciec z matką pewnego wieczoru wracając ze sklepu natknęli się koło Korkosza na uzbrojonych ludzi. Wśród nich poznali jeńców rosyjskich, „naszych Sowieców” (dotychczas przebywali w naszej wsi), w towarzystwie własowców – „czarnych łebków” z Bełżca. Niedługo zjawili się u nas dwóch „naszych Sowieców” – Jan i jeszcze jeden, żądając chleba i szklanki. Wódkę mieli swoją. Po wypiciu jeszcze raz zastukali do okna i oddali szklankę. Takie sytuacje zdarzały się bardzo często, były na porządku dziennym, więc rodzice nie przywiązywali do tego wielkiej uwagi. Zaraz jednak na drugą noc zjawili się znów „czarne łebki”, ale już z niemiecką żandarmerią, aby dokonać masakry miejscowej ludności, wyłącznie jednak tych, którzy utrzymywali bliskie kontakty z jeńcami sowieckimi. Mieli sporządzoną listę osób przewidzianych do rozstrzelania. Idąc kolejno do chałup wskazanych im przez miejscowego folksdojca, wyprowadzali z nich ludzi i rozstrzelali na miejscu. Jak później głosiła fama, niektórzy własowcy, udając, że uciekli od Niemców z Bełżca, dołączyli do „naszych Sowieców” i poprzedniej nocy dowiedzieli się, kto we wsi im pomagał. W ten sposób już nazajutrz Niemcy mieli gotową listę osób. Tej nocy zginęli następujący mieszkańcy Paar: Stanisław Łagowski – sołtys, Bronisława Łagowska jego córka, Jan Kielnik, Aniela Kielnik, Michał Łagowski, Jan Łagowski, „Mały Jasio”, Aniela Korkosz po mężu Gęborys. Eugeniusz Kielnik, syn Anieli (lat 19) zginął śmiercią męczeńską. Wieś ogarnęła groza i wielkie przygnębienie, zapanował płacz i lament.

Po tych tragicznych wydarzeniach nastała jakby cisza. Rozstrzelanych pochowano na cmentarzu wojskowym w lesie. Rodziny oplakiwały najbliższych, a wieś jakby zastygła w głębokiej żałobie. Ale życie toczyło się dalej. Mężczyźni dalej pełnili nocne warty i nasłuchiwali, czy wróg nie zbliża się do wsi.

Któregoś pięknego poranka, a był to maj 1942 roku, ludzie zostali wyrwani ze snu gwałtownym ujadaniem psów i seriami strzałów karabinowych. Przerażeni uciekali i chowali się, gdzie kto mógł, szczególnie mężczyźni, gdyż kobiety mniej były represjonowane i rzadziej aresztowane. Jedni zakopywali się głęboko w snopkach w stodołach lub na górkach obór i mieszkań, inni jak krety wślizgli pod ziemię do specjalnie wcześniej przygotowanych schronów – ziemianek. Niektórym udało się przedrzeć przez kordon okrażenia i przedostać do lasu za rzekę Tanew, już w Galicji. Specjalne grupy żandarmerii przetrząsały całe gospodarstwa, szukając wszystkiego, co mogło stanowić jakąkolwiek wartość: kozuchów, pierza, skór, przędzy lnianego i konopnego, goniąc jednocześnie wszystkich napotkanych mieszkańców wsi na plac obok studni i figury koło Buczka. Tu kordon esesmanów z karabinami maszynowymi i zajadle ujadającymi psami pilnował spędzonych.

Około godziny 10, a może później, akcja została zakończona. Teraz ludzi czekała wielka niewiadoma. Co stanie się z nimi? Czy zostaną zwolnieni czy rozstrzelani? A może wywiezieni do obozu do Zamościa, jak to się stało w innych okolicznych wioskach? Kobiety z dziećmi najpierw nieśmiało, po cichu, potem coraz głośniejsze zaczęły odmawiać modlitwę do Boga, do Matki Boskiej. Niemcy biernie się temu przysłuchiwali, nie zabraniali, nie zwracali na to szczególnej uwagi, pilnowali tylko, aby ktoś nie uciekł.

Kiedy już cała wieś została przetrząśnięta, a wszyscy złapani mieszkańcy spędzeni na plac, nastąpił moment kulminacyjny. Co teraz będzie? Co stanie się z ludźmi, co z wioską? Na te i inne pytania mógł udzielić odpowiedzi jedynie starszy rangą oficer, pan życia i śmierci, który kierował całą akcją. Jego lekceważący ruch palca u ręki mógł pozbawić tych ludzi życia.

Stał pośrodku placu wyprostowany jak struna, dumny ze swojej władzy, butny. Na jego twarzy ukazał się szyderczy uśmieszek. Otucha wstąpiła w serca uwięzionych. Uśmiecha się. Może dobry człowiek? Może nie zabije? Różne myśli krążyły po głowach. Ale to były tylko złudzenia. Podwładni dobrze wiedzieli, co oznacza taki uśmieszek pogardy, nienawiści. Czekali tylko na sygnał, na małe ruch palca nakazujący puszczenie w ruch broni. Władca życia i śmierci na razie nie dawał żadnego znaku, tylko donośnym głosem przemawiał. Ale jakże inaczej. Jak butnie, arogancko, rozkazująco! Słowa jego jak pociski padały na uwięzionych, raniły ich dusze, pozbawiały wątlej nadziei na uratowanie. „Polskie świnię, bandyci, jesteście nic nie warci. Jesteście podłym błotem, gnojem, robactwem. Sprzeciwicie się wszechpotężnej armii niemieckiej, osłabiacie jej siłę bojową, nie przestrzegacie zarządzeń władz okupacyjnych. A kto nie przestrzega naszych zarządzeń, nie podporządkowuje się naszym rozkazom, ten podlega karze śmierci. I wy na taką karę zasłużyliście. Udzielacie pomocy i schronienia bandytom rosyjskim, dajecie im żywność i ubranie. Było wydane zarządzenie władz niemieckich, by dostarczyć ich na policję, i co – żaden z was nie przyprowadził takiego bandyty, nikt nawet nie powiadomił, gdzie ci przekłęci bandyci się ukrywają. Na co więc zasłużyliście? Oczywiście na śmierć. My wiemy, że ukrywają się u was, że ich ochraniać, żywić, udzielać im wszelkiej pomocy. Dziś jednak was za mało, za mała byłaby kara. Gdzie są wasi mężowie? Dlaczego ich tu nie ma? Następnym razem wszystkich was rozstrzelamy, a wieś puścimy z dymem”.

Słowa te jak strzały karabinowe raniły dusze słuchających. Każdy wtulony w siebie, trzęsący się ze strachu słuchał ich, jak swojego wyroku śmierci. Na przemian robiło się raz zimno, raz gorąco. Niektórzy dostali rozstroju żołądka i zaczęli na miejscu załatwiać swoje potrzeby fizjologiczne. Wydawało się, że ta przemowa trwa już bardzo długo, że nigdy się nie skończy. Wszyscy czekali na ten jeden ruch ręki. Jaki on będzie? Czy nakazujący rozstrzelanie wszystkich, czy zwolnienie?

Wreszcie oficer dał znak swoim żołnierzom, aby zabrali broń przygotowaną do strzału i odstąpili. Ludziom kazano rozejść się do domów jak najszybciej. Nikogo nie trzeba było namawiać ani popędzać. Wszyscy biegiem rzucili się do ucieczki, nie dowierzając jeszcze, że są ocaleni. Do dziś nie wiadomo, dlaczego nie spacyfikowano wówczas wsi.

Po dłuższym czasie ukryci mężczyźni – powiadomieni o odejściu Niemców – zaczęli wylazić ze swoich kryjówek. U nas w domu pod podłogą była wykopana jama, która służyła ojcu jako schowek na wypadek, gdyby już nie było można uciekać do lasu. Wyjmowało się jedną deskę z podłogi i tym otworem wchodziło się do ciasnej jamy, ciemnej, bez żadnej wentylacji. Była ona ostatnią deską ratunku. Ale jeśli wybuchłby pożar, nie było stamtąd żadnej możliwości ucieczki. Kryjówka mogła stać się gotową mogiłą.

Po tej akcji czujność we wsi została zdwojona. Władze okupacyjne jeszcze niejednokrotnie próbowały wpędzić w matnię małą grupkę sowieckich jeńców wojennych, ci jednak rozszerzyli swój teren działania i byli nieuchwytni. Mieli w lesie zwanym „Bankówką” wykopane schrony, w których przebywali w dzień. Porą ich działania była teraz noc. To był ich żywioł. W nocy nie było akcji zaczepnych ze stron okupanta, można było bezpieczniej przemieszczać się, nie być rozpoznany przez znajomych. Najprawdopodobniej okupant z jakiś źródeł dowiedział się o lokalizacji tych schronów, gdyż pewnego dnia zaatakował je w sile dużego oddziału policji. Po krótkiej wymianie strzałów rosyjscy jeńcy zdołali się wycofać w głąb lasu, uprowadzając ze sobą rannych towarzyszy. Zabitych nie było. Oddział tych jeńców z czasem zaczął się rozpadać na mniejsze grupki, po dwóch, po trzech, które na własną rękę starały się zdobyć środki do życia. Kilku z nich było rannych. Pamiętam, jak starsi opowiadali, że Sergiej został przez nieostrożność zabity w lesie zwanym „Zapustem” podczas czyszczenia broni. Były różne domysły, że celowo przez kobiety został zabity, ale nikt tego nie dochodził ani nie dowiódł. Kilku prawdopodobnie dołączyło po pewnym czasie do oddziału partyzanckiego „Miszki Tatar”, działającego w okolicy Józefowa Biłgorajskiego.

Kilkuosobowe grupy, uzbrojone przeważnie w karabiny jedno-strzałowe, stare, mające mało amunicji, nie mogły prowadzić żadnych akcji zaczepnych na wrogu i z tego względu były wcześniej czy później skazane na zagładę. O ile mi wiadomo, chyba nikt z takich małych oddziałów nie doczekał końca wojny, poza kilkoma, którzy przebywali w oddziale „Miszki Tatar”, chociaż też nie wiadomo, jak potoczyły się ich losy. Byli oni również ścigani przez patrole z oddziału radzieckiego za nie podporządkowanie się rozkazom dowódcy i nie zgłoszenie się do niego. Pamiętam, jak pewnego razu w lesie „Bankówką” podeszło do nas dwóch uzbrojonych w broń maszynową mężczyzn. Pytali nas o jeńców radzieckich, którzy przebywali na terenie Paar, Koszelów i Sikliwiec. Czy nie widzieliśmy ich, czy nie wiemy, gdzie mają swoje bunkry. My oczywiście odpowiedzieliśmy, że nic nie wiemy, że ich nie znamy, nikogo nie widzieliśmy. Po pewnym czasie dowiedzieliśmy się, że w lesie na „Pietrani” został zabity

jeniec radziecki „Jan”, o którym już wspominałem wcześniej – i to właśnie przez partyzantów radzieckich z oddziału „Miszki Talara”.

Akcja „Bukowy Las”

Dzień zapowiadał się pogodny, piękny, na niebie nie było ani jednej chmurki. Czerwona luna na wschodzie zwiastowała rychły wschód słońca. Skowronek wyśpiewywał beztrzesko swoje trele, jakby nie było wojny, jakby rolnicy niebawem mieli wyjść w pole, a dzieci wyganiać krowy na pastwiska. Rolnicy jednak nie wyjdą dziś w pole, dzieci nie wypędzą krów. Wioska ze wszystkich stron jest otoczona oddziałami policji, żandarmerii i wojska. Niebieski kordon uzbrojonych po zęby Niemców coraz szczelniej zacieśnia krąg, aby nikt się nie wymknął. Tyraliera zbliża się pomału do wsi. Są już pierwsi schwytani: chłopcy i dziewczęta ukrywający się przed łapankami do Niemiec na przymusowe roboty. Na razie wszystko załatwiane jest na „sucho”, bez wystrzałów. Chodzi o ciche podejście do wsi. Już gdzieś słychać ujadanie psów. Zwierzęta instynktownie wyczuwają, że coś groźnego wisi w powietrzu. Koguty pieją na zmianę jeden przez drugiego, budząc swoich gospodarzy.

Siostra i dwaj bracia śpiący na grubej derce w gęstym, wysokim łubinie obudzili się. Starszy Stach wychylił głowę. Upadł z powrotem na legowisko i wyszeptał: „Niemcy, dużo Niemców”. Nie było innego wyjścia, tylko cicho leżeć i czekać, co się stanie. Szwargotanie zbliżało się, coraz wyraźniej słychać było głosy. Niemcy szli prosto na nich! Wtuleni w ziemię, zaczęli się modlić, aby Bóg ich cudem ocalił. I stało się! Jeden z Niemców niemal na nich nadepnął. „Aufstehen” – krzyknął, kierując broń w ich stronę. Potem następuje potężne kopnięcie. Już się podnieśli. Nie rozumieją, co do nich krzyczą. Widzą tylko lufy broni. Popychani, uderzani kolbami karabinów, gnani w kierunku wsi, idą „drewnianymi” nogami. Wreszcie świadomość wraca. Idą posłusznie, gdzie im każą. Może ich zwolnią? Może tylko wylegitymują? Ale nie mają żadnych dokumentów. W pole nie brali, bo nie były im potrzebne.

Już to tu, to tam słychać strzały, krzyki, nawoływania, głośnie ujadanie psów, ryk nie karmionych i nie dojonych krów. Wieś ożyła, ale jakimś innym, nienormalnym życiem. Widać przemykające sylwetki ludzi, przeważnie mężczyzn. Jedni uciekają w pole, inni przez drogę do lasu. Jedni i drudzy wpadają w zasadzkę.

Tymczasem trójka rodzeństwa Drażaków: Stanisław, Franciszek i Karolina, została doprowadzona pod eskortą do punktu dowodzenia, który mieścił się pośrodku wsi, przy drodze na skraju lasu. Przy dużym wiejskim stole siedział wyższy rangą oficer i kierował całą akcją, wydając odpowiednie rozkazy. Jeden oddział pobiegł na prawo, drugi na lewo, trzeci z bronią gotową do strzału rozwinął tyralierę w kierunku lasu. Ruch niesamowity we wsi. Słychać głośnie, natarczywe ujadanie psów, ryk bydła, krzyki ludzi i głośnie zawołanie kobiet, którym zabierano mężczyzn. Gdzieś w oddali słychać serię karabinu maszynowego. Dzień jest już w całej pełni, słońce wysoko na niebie, ciepło, bardzo ciepło. Większość mężczyzn wybrała jednak las. Niektórzy uciekają za rzekę i kierują się dalej na Banachy, aby przedostać się do bukowego lasu. Tam już gąszcz. Olbrzymie jodły i buki, dęby i graby, w razie czego można się ukryć w koronach drzew. Inni biegną w kierunku Suśca. Tam też jest duży, gęsty las. Można daleko zejść i zaszyć się głęboko. Najgorzej wybrali ci, którzy uciekali w pole. Tu nie było się gdzie ukryć. Gęsta tyraliera wkrótce wszystkich wyłapała.

Ojciec z sąsiadami zdołał uciec aż do lasu bukowego. Wydawało im się, że są już bezpieczni, ale okazało się, że i tam byli Niemcy – i to wielu. Od strony wsi Grochy zbliżała się tyraliera Niemców, z bronią przeważnie maszynową i granatami. Ze wszystkich stron słychać strzelaninę. Serie karabinów gęsto sieją las. Słychać też pojedyncze strzały. Nie ma gdzie uciekać, trzeba paść na ziemię i cicho leżeć, czekać, co będzie. Sąsiada, Jana Buczka, już zabili. I jeszcze kogoś, ale na razie nie wiadomo kogo. Dech w piersiach zapiera. Wydaje się, że za głośno się oddycha, że trzeba ściszyć oddech, ale piersi same rozdymają się ze zmęczenia, rozdygotane chodzą jak miechy, trudno je uspokoić. Strach paraliżuje nogi. Strzały i krzyki coraz bliżej. Trzeba wstać i uciekać. Ale dokąd? Wszędzie Niemcy. Ktoś został zestrzelony z drzewa. Spadł bezwładnie na ziemię i już się nie poruszył. Słychać jęki rannych: leżą, nie uciekają już, bo nie mogą. Niech się dzieje wola boska. Niemcy wyłapują wszystkich po kolei. Jak błędne owce spędzają do kupy i gonią do wsi.

Do stołu, czyli do punktu dowodzenia, przyprowadzono troje rodzeństwa Drażaków. Kazano im się zatrzymać. Niemiec, który ich przyprowadził, pyta oficera co ma z nimi zrobić. Ten nie ma czasu, coś krzyczy do słuchawki telefonu. Jest bardzo zajęty, a tu zawraca mu się głowę jakimiś zbiegami, przeszkadza. Bardzo zdenerwowany, spojrzął na moment i krzyknął głośno w kierunku konwojenta: „Schiessen”. I dalej wije się jak w ukropie, coś melduje, przekazuje. Można to poznać po zmianie w jego głosie. Teraz jest wyraźnie uprzejmy, delikatny, uległy. Kiwa głową wypowiadając co chwila słowo „Jawohl”. I znów zdenerwowany, jak sto diabłów, znów krzyczy i gestykułuje.

Tymczasem konwojent prowadzi troje młodych ludzi w głąb lasu celem wykonania rozkazu. Już uszli chyba ponad sto metrów, gdy nagle bracia skoczyli, jeden w prawo, drugi w lewo i co sił w nogach

popędzili w głąb lasu. Niemiec zbaraniał. Nie spodziewał się takiego obrotu sprawy. Zaczął ładować pocisk do komory naboju. Dziewczyna również skoczyła do przodu. Uciekała, ale nie miała szans. Była sama, stanowiła łatwy cel. Niemiec przyłożył karabin do piersi i strzelił. Karolka padła. Rozkaz został wykonany, chociaż nie w pełni.

Patrol, który naszedł na leżących za grubymi drzewami mężczyzn, oddał serię ostrzegawczą i głośno krzyknął: „Aufstehen!”. Mężczyźni wstali. Usłyszeli następną komendę: „Hande hoch!”. Podnieśli więc szybko i posłusznie ręce do góry. Jeden z Niemców rewidował każdego z osobna, pozostali trzymali ich na celowniku gotowi do strzału. Po przeprowadzonej rewizji osobistej popędzono więźniów do punktu dowodzenia, gdzie było już wielu mężczyzn schwytanych w lesie, na polu i w innych miejscach. Zobaczyli wielu znajomych. Zrobiło się jakby raźniej, bezpieczniej, zawsze to w większej grupie czuje się pewniej.

Po wsi ciągle krążą patrole, to w jedną, to w drugą stronę. Od czasu do czasu przejedzie auto wypełnione do ostatniego miejsca wojskiem, policją niemiecką oraz żandarmerią. We wsi panuje głębokie przygnębienie. Kobiety chodzą od gospodarstwa do gospodarstwa, aby dowiedzieć się czegoś o swoich mężach, ale nikt nic nie wie. Sztab znajduje się teraz w drugim końcu wsi. Tam wszystko się decyduje, tam wydaje rozkazy i przyjmuje meldunki, tam przyprowadzani są chłopci schwytani w lesie, czy w polu. Oficer prowadzący przesłuchanie decyduje kogo zwolnić do domu, a kogo zatrzymać.

Niepokoimy się z Mamą bardzo o ojca. Uciekł do lasu i nic o nim nie wiemy. Siedzimy przy oknie i wpatrujemy się w drogę wiodącą do rzeki, czy nie prowadzą jakiejś grupy schwytanych mężczyzn. Długo wypatrujemy, bardzo długo. Po południu spostrzegamy ojca i jeszcze jednego mężczyznę. Był to Antoni Łagowski. Kulał na jedną nogę, był ranny. Eskortowało ich dwóch żandarmów, a za nimi jechała kuchnia polowa. Minęli nasze zabudowania i popędzono ich przez wieś w kierunku, gdzie mieścił się punkt dowodzenia. Odetchnęliśmy z ulgą. Jednak ojciec żyje! Jest cały i zdrowy! Może go puszczać? Bo niektórych puszcza. I rzeczywiście po pewnym czasie wrócił do domu. Przybyło mu tylko siwych włosów.

W czasie tej akcji pacyfikacyjnej zginęło dziesięciu mieszkańców Paar: Stanisław Tulej, Jan Buczek, Jan Szpak, Czesław Rysiowski, Adam Łagowski, Kazimierz Koper, Stanisław Dudek, Kazimierz Horoszko. Ile było ofiar z innych miejscowości, nie mam rozeznania. Po zakończeniu akcji szukano zabitych po lesie, aby godnie i po ludzku pochować ich na cmentarzu wojskowym w lesie koło bagien.

Czarne łebki

Ubrani byli w czarne mundury, mieli na głowach czarne furażerki z trupimi czaszkami. Stanowili najbardziej okrutną, można by powiedzieć sadystyczną jednostkę wojskową, przeznaczoną do wykonywania specjalnych zadań. Byli to tzw. włosowcy, czyli żołnierze generała Własowa, który z całą armią zdradził swoją ojczyznę i w najbardziej krytycznym dla niej momencie przeszedł na stronę wroga. Aby wykazać swoją lojalność wobec Niemców wykonywał najbardziej brudną, najbardziej haniebną robotę. Żołnierze z tej jednostki byli bardziej bezwzględni w zadawaniu tortur niż Niemcy. Można ich porównać do Ukraińców, upowców i banderowców, którzy też, zaślepieni faszystowską ideologią, byli okrutni i sadystyczni. „Czarne łebki” (ze względu na te czarne furażerki tak ich nazywano) stacjonowały w Bełczu, miejscowości będącej węzłową stacją kolejową na trasie Lublin-Lwów.

Jednostka była przeznaczona szczególnie do ochrony kolejowego szlaku komunikacyjnego, zagrożonego sabotażową działalnością partyzancką. Wykorzystywano ją też bardzo często do wykonywania innych specjalnych zadań podczas pacyfikacji wsi Zamojszczyzny. Tam, gdzie pojawiły się „czarne łebki”, śmierć obficie zbierała swoje żniwo. Pozostawały tylko zgłiszcza i nieopisany ból i tragedia po pomordowanych. Ludzie panicznie ich się bali. Pełnili oni służbę wartowniczą na szlaku kolejowym oraz mostach na Świdach i w Bełczu.

Aby wzmocnić ochronę torów przed dywersyjną działalnością partyzantów, wyznaczono ze wsi chłopów do pomocy „czarnym łebkom”, których widocznie było za mało, aby w pełni zabezpieczyć regularny ruch pociągów kursujących z zachodu na wschód i z powrotem. Ich to właśnie Niemcy wykorzystywali do najbardziej brutalnych robót, jak też do różnych podstępnych akcji, jak to miało miejsce w Paarach, gdzie podeszli miejscowych Sowietów i wymordowali tylu ludzi, a w końcu i ich samych.

Pewnej nocy z Bełzca uciekła grupa „czarnych łebków” z pełnym uzbrojeniem i wyposażeniem wojskowym – niby to do partyzantki. Twierdzili, że już nie chcą służyć wrogowi, że mają dość tej psiej służby, że chcą się zrehabilitować w walce za swoją zdradę. Spotkali się w lesie z „naszymi Sowietami” i powiedzieli im, że uciekli od Niemców. Ci uwierzyli, pokazali im miejsca swojego pobytu, zamaskowane schrony ziemne, przyjęli nawet do swojego oddziału. Ujawnili ludzi ze wsi, z którymi mieli kontakty – kto z nimi współpracował, kto pomagał, po prostu zdekonspirowali się. Po kilku

dniach własowcy skontaktowali się z Niemcami i wszystko im przekazali. W taki to sposób doszło do bestialskiego wymordowania ludzi z Paar w opisaną noc oraz do późniejszej likwidacji grupy Sowietów, przebywających i działających na naszym terenie. Nie dały się nabrać na takie plewy prawdziwe oddziały partyzanckie. Gdy tylko spotkały zbiegów z „czarnych łebków”, bezpardonowo ich likwidowały. Wiedziały bowiem, że są to nieprzejednani zdrajcy swojej ojczyzny i najgorsi wrogowie Polaków.

Śmierć żebraczki

Mama krzątała się po domu, przygotowując widocznie coś do jedzenia. Otwarte drzwiczki od pieca jeszcze się kołyszą, rozdygotane nagłym, gwałtownym otwarciem. Żar bucha na izbę. Jakiś czerwony węgiełek wypadł na drewnianą podłogę. Unosi się maleńki dymek, a na podłodze zostaje czarna plamka. Mama chwytając żarzący się węgiełek w gołą dłoń i szybkim, energicznym ruchem wrzuca go do pieca. Wzdrygam się. Ciarki przechodzą mi po plecach. Jak można gołą ręką chwycić czerwone węgle! A jednak można, widocznie można. Mama twierdzi, że nawet nie piekło, trzeba tylko robić to bardzo szybko. Na samą myśl o tym piecze mnie ręka. Wyglądam więc przez okno, aby nie patrzeć. Może mama drugi węgiełek będzie wrzucać do pieca? Aż tu moim oczom ukazuje się obraz grozy, strachu. Wołam: „Mamo, mamo, chodź, coś zobaczysz!”

Jedzie furmanka, na niej siedzą policjanci w ciemnych mundurach, z karabinami opartymi o kolana, a pomiędzy nimi ze zwieszoną głową siedzi znany mi bardzo dobrze, bo często u nas bywał, Jan Wróbel – Jasiiek. Mama spojrzała ostrożnie przez okno i powiedziała do ojca: „Patrz, Wróbla aresztowali”. Zrobiło się w domu cicho, smutno, nikt nic nie mówił. Mama patrzyła na tatę, a on na mamę. Cóż było mówić, aresztowali dobrego przyjaciela. Furmanka pojechała trochę dalej, minęła studnię z żurawiem koło Buczka i zatrzymała się. Dwóch czy trzech policjantów weszło do Pakosika, a jeden został przy aresztowanym. W pewnej chwili usłyszeliśmy strzały karabinowe, więc rzuciliśmy się do okna. Zobaczyliśmy, że Wróbel ucieka do lasu. Gdy znalazł się na jego skraju, był już prawie uratowany. Kluczył wielkimi susami, raz w lewo, raz w prawo i biegł w kierunku rzeki Tanew. Policjant oddał jeszcze kilka strzałów i dał za wygraną. Inni policjanci słysząc strzały, wybiegli z chałupy pytając, co się stało. Ten od pilnowania poinformował ich, że aresztowany uciekł. Było to dla mnie duże przeżycie, ponieważ po raz pierwszy widziałem, jak strzelano do człowieka, który ratował się ucieczką. Jeszcze jedną taką sytuację widziałem, kiedy obok naszego domu uciekał do lasu Józef Szaluś, do którego też strzelano kilkakrotnie, na szczęście niecelnie. Najbardziej jednak utkwiło mi w pamięci jedno zdarzenie, którego do dziś nie mogę zapomnieć i chyba nigdy go nie zapomnę.

Szła przez wieś staruszka, która chodziła po żebranych. Ludzie dawali jej najczęściej kawałek chleba lub jajko. Cóż mogli innego dać, skoro sami byli biedni. Miała ze sobą koszałkę i do niej te dary wkładała. Wyszła od sąsiadów i skierowała się widocznie do nas, gdyż znalazła się akurat koło naszego domu. W tym czasie nadjechała furmanka wioząca jakiegoś Niemca. Był on olbrzymiego wzrostu, ubrany w żółty wojskowy mundur, przepasany skórzanym pasem, do którego przypięta była kabura pistoletu. Gdy zobaczył staruszkę, kazał zatrzymać furmankę i energicznie z niej zeskoczył. Szybkim krokiem zbliżył się do kobiety, po drodze rozpinając kaburę i wyjmując pistolet. Lewą ręką popchnął żebraczkę do przodu i poprowadził w kierunku lasu. Patrzyliśmy wszyscy przez okno, drżąc jak liście na osice ze strachu. Gdy podeszli już blisko stojącej pod lasem stodoły Zatorskiego, Niemiec wycelował jej w tył głowy i strzelił. Staruszka upadła twarzą do ziemi. Niemiec schował pistolet i wrócił do furmanki. Zapytał furmana gdzie jest sklep. Ten mu wskazał, że znajdują się akurat obok. Widząc, że Niemiec idzie do naszego domu, struchleliśmy. Ojciec i matka byli bladzi jak ściana. Różne wstrętne myśli cisnęły się do głowy. A może to na nas kolej? Może i nas wyprowadzi i rozstrzela? Nigdy nic nie wiadomo, co może się zdarzyć. Po co tu idzie?

Drzwi otworzyły się z trzaskiem i do mieszkania wszedł wysoki, barczysty, butny hitlerowiec. Rodzice stali w kącie izby. Ojciec trzymał mnie za rękę przy sobie, a matka tuliła do piersi moją maleńką siostrzyczkę. Niemiec rozejrzał się po mieszkaniu, zobaczył półki sklepowe i skierował się do nich. Wszedł za ladę i oglądając uważnie towar, zaczął niektóre artykuły zdejmować i układać na ladzie. My staliśmy nieruchomo i przyglądaliśmy się czekając, co będzie dalej. On tymczasem powoli, dokładnie oglądał półki. Kiedy już uznał, że więcej nie ma co brać, zwrócił się do ojca. Ojciec trochę znał niemiecki, zaczął coś tłumaczyć. Nie rozumiałem, co mówi. W każdym bądź razie Niemiec był wyraźnie zdenerwowany. Mówił podniesionym głosem, a w końcu zaczął krzyżeć. Trzęśliśmy się wszyscy ze strachu, nie wiedząc, co ze sobą zrobić. Pomyślałem sobie wtedy, że chciałbym być myszą. Uciekłbym do dziury. Ale rzeczywistość była inna. Byliśmy ludźmi, byliśmy więksi od myszy, a Niemiec był od nas jeszcze większy, a poza tym krzychał i miał nad nami władzę. Miał w ręku pistolet. Nie wiem, o co mu chodziło. W końcu wyszedł zza lady i z całej siły uderzył ojca w twarz, aż ten padł jak długi na podłogę. Zaczęliśmy wszyscy piszczeć ze strachu. Niemiec nie bacząc na nas zebrał odłożony towar

i wrzucił wszystko do swojej torby. Butny, arogancki, z fałszywym i szyderczym uśmiechem na twarzy wyszedł ze sklepu.

Odetchnęliśmy z ulgą. Matka podbiegła do ojca, pomagając mu wstać z podłogi. Złapała jakąś szmatę czy ręcznik i wycierała mu twarz z krwi, która cienką strużką spływała mu po wargach i brodzie. Ojciec umył się w miednicy i usiadł na sofie, opierając głowę o ścianę. Matka włożyła mu do nosa tamponik z waty.

Ukradkiem wyglądaliśmy przez okno, czy już ten diabeł w żółtym mundurze odjechał, czy się jeszcze przypadkiem nie wróci. Dopiero po dłuższym czasie, upewniwszy się, że naprawdę odjechał, uspokoiiliśmy się trochę.

Ojciec zaczął układać na półkach porozrzucane towary, domyślając się jedynie, co Niemiec zabrał i ile. Ale nie to było istotne. Najważniejsze było to, że wszyscy żyjemy, że nas nie zastrzelił, chociaż od jego kaprysu i humoru zależał nasz los. Wystarczył byle pretekst, a mogliśmy być wyprowadzeni do lasu i zastrzeleni bez żadnego powodu, jak ta biedna staruszka.

Bardzo znanym oprawcą i zbirzem w całej okolicy był Niemiec mieszkający w Suścu, jak sobie przypominam prawdopodobnie związany z tartakiem, bo tamtejsi robotnicy wiele opowiadali o jego czynnościach. Mówiono, że nazywał się Brumba. Nie wiem, czy było to prawdziwe jego nazwisko czy tylko tak go przezywano. W każdym razie, jak usłyszano słowo „Brumba”, strach padał na wszystkich. Miał na swoim koncie niejedną ofiarę. Szczególnie nienawidził Żydów. Mordował ich bezlitośnie, rozstrzeliwał jak psy na skraju lasu. Opowiadano, że szła kiedyś Żydówka z małym dzieckiem na rękę. On ją spotkał, poprowadził na skraj lasu i zastrzelił. Najpierw matkę, potem dziecko. Z zimną krwią mordował bezkarnie w całej okolicy, siejąc strach i grozę, gdzie tylko się pojawił. Pewnego dnia jechał przez Paary furmanką. Ktoś dał znać, że Brumba jedzie. W tym czasie z mieszkania Wróblów wyskoczył Piotr Wróbel i zaczął uciekać, myśląc że będzie aresztowany. Przeskoczył płot i chciał dopaść lasu. Brumba wymierzył i strzelił, śmiertelnie go raniąc. Przewieziony do szpitala w Tomaszowie w czasie operacji Piotr Wróbel zmarł.

Dla Brumby zastrzelić Żyda czy Polaka to tak, jak zabić muchę. Był to sadysta, człowiek zwyrodniały. Dziś jako dorosły już człowiek, wiedzący o tym, że działały różne organizacje podziemne, tak polskie jak i radzieckie, dziwię się, że nie dokonano żadnego zamachu na jego życie, że mógł tak bezkarnie grasować, mordować i terroryzować.

Aresztowania

Pewnego ranka obudziło nas gwałtowne, natarczywe stukanie w szybę. Mama zerwała się przestraszona i pobiegła do okna. Zobaczyła babcię, która była bardzo zmieniona i zdenerwowana. Wpuściła ją do mieszkania, a ta z płaczem zaczęła opowiadać, że w nocy Niemcy aresztowali dziadka (Adama Wróbla) oraz stryja (Andrzeja Wróbla). Jak się później okazało, tej nocy wiele osób zostało złapano. Ale ci, o których im chodziło akurat zdołali się ukryć. Po prostu nie zastano ich w domu.; Schowali się zawczasu, wiedząc o tym, że są podejrzani i poszukiwani.

Tej nocy nastąpiły też inne aresztowania. Zabrano z gajówki z Niwki Babiarzy: ojca Aleksandra i syna Bolesława, a także wiele osób z Suśca. Wszystkich umieszczono w więzieniu w Zamościu. Tam toczyły się wielomiesięczne śledztwa, przesłuchania, ze stosowaniem najprzeróżniejszych tortur cielesnych. Prawdopodobnie Niemcom chodziło o innych Wróblów – o Jana, jego brata Szczepana i o Ludwika, którzy należeli do organizacji podziemnej. Jana Wróbla innym razem aresztowała żandarmeria i powierzyła opiece granatowej policji z Pasiękami, która zabrała go do Tomaszowa. Po drodze jednak udało mu się zbiec do lasu pod Pasiękami i uniknąć osadzenia w więzieniu w Zamościu. Jeśli chodzi o przyczynę tych aresztowań, to prawdopodobnie nastąpiła „wsypa”.

Dziadek i kilku Wróblów, nie z tych podejrzewanych, po kilku miesiącach śledztwa wrócili do domów, gdyż nic im nie udowodniono. Ale co się nacierpieli, to tylko im było wiadome. Pozostali aresztowani tej nocy już nigdy do domów nie wrócili. Albo zostali w Zamościu podczas śledztwa zamordowani, albo wywiezieni do obozu koncentracyjnego na Majdanku i ślad po nich zaginął.

Z zapartym tchem słuchałem opowiadań dziadka o metodach śledztwa w więzieniu zamojskim. Ciarki przechodziły po plecach, gdy mówił, w jak perfidny sposób zadawano tortury ludziom, jak bito do nieprzytomności na tzw. kołyskach. Polewano ofiary zimną wodą, cucąc je i dalej bijąc, zmuszając do wyjawienia tajemnicy i do przyznania się do nie popełnionych czynów. Ci, którzy faktycznie byli umieszczeni na liście i „wsypani”, nie mieli żadnych szans na uratowanie życia, z góry byli skazani na śmierć. Innych podejrzanych, którym Niemcy nie mogli niczego udowodnić, wywieziono do obozu koncentracyjnego na Majdanku. Męczeńską śmierć w Zamościu poniósł syn Babiarza – Bolesław.

Pacyfikacja i obóz w Zamościu

Działo się to 29 czerwca 1943 roku. W nocy wieś została otoczona przez silne oddziały niemieckie. Kordon był tak szczelny, że tylko nielicznym udało się przedrzeć do lasu. Cała reszta mieszkańców Paar pozostała w swoich domach, nie widząc żadnej możliwości ucieczki. Wieś pogrążona w głębokim strachu czekała na swoje przeznaczenie.

Ranek wstawał ciepły, pogodny. Opary leniwie podnosiły się do góry, jakby chciały jak najdłużej ukrywać wszystko przed wrogiem. Wieś już nie spała. Oporządzano bydło i trzodę chlewną. Tego dnia nie było możliwości wypędzenia zwierząt na pastwisko, na drogę. Nikomu nie wolno było opuścić zabudowań. Wszyscy mieli pozostać w swoich domostwach, a rozkaz ten należało bezwzględnie wykonać.

Kiedy dzień już był w pełni, specjalne grupy hitlerowców wkroczyły do wsi i zaczęły aresztować wszystkich mężczyzn, poczynając od kilkunastoletnich chłopców, a na sędziwych starcach kończąc. Kierowano ich do wąwozu na końcu wioski, który ze wszystkich stron był otoczony strażą i karabinami maszynowymi. Stąd już nie było żadnych szans ucieczki. W razie podjęcia jakiegokolwiek próby groziła nieuchybnie śmierć. Dlatego też nikt o tym nie myślał. Coraz to więcej aresztowanych spędzano do wąwozu. Nikt nie wiedział co się z nimi stanie. Myślano, że najpewniej zostaną w tym kotle rozstrzelani, toteż czule i boleśnie żegnano się z rodzinami. Słychać było szloch i spazmatyczny płacz kobiet i dzieci. Niektórzy siedzieli i palili papierosy, pogrążeni w głębokim smutku. Inni, zebrawszy się w małe grupki, o czymś rozmawiali. Jeszcze inni, skuleni i skupieni w sobie, żarliwie się modlili, robili rachunek sumienia. Z niektórych domów były tu całe rodziny.

Najgorsze było to czekanie, ta wielka niewiadoma, co się dalej stanie. A nic dobrego stać się nie mogło, bo nie po to ich tu spędzono, żeby z nimi porozmawiać. O tym wszyscy wiedzieli. W najlepszym wypadku mogło ich czekać wywiezienie do obozu. I tak też się stało.

Kiedy Niemcy przetrzasnęli już każde zabudowanie i uznali, że aresztowali wszystkich, których chcieli – zarządzono zbiórkę na drodze. Uformowano długą kolumnę czwórkową i rozpoczął się marsz w kierunku Narola Wsi. Pewna otucha wstąpiła w serca aresztowanych. Chyba ich nie rozstrzelają, bo po co mieliby pędzić ich gdzieś dalej, gdzieś w nieznane?

Widok był straszny. Obok ojca szedł syn, często jeszcze małoletni; obok dziadka, siwego jak gołąbek – wnuk, podtrzymując go w marszu; obok teścia – zięć; obok szwagra – szwagier. A często nie było im nawet dane iść razem. Rozdzielono ich, każdy znalazł się w innej czwórce. Zniewoleni Polacy, chłopcy z naszej wioski, szli pokornie i posłusznie. Agresywni, ordynarni żandarmi, głośno krzycząc i nie szczędząc uderzeń kolbami, ponaglali ich do szybszego marszu.

Wreszcie kolumna weszła do Wsi Narola. Po obu stronach drogi licze, stare, drewniane, często jeszcze słomą kryte zabudowania. Na drodze, ani na podwórkach obejść nie widać żywego ducha. Wszyscy mieszkańcy ukryli się w chałupach. Gdzieś tam zza płóciennej zasłonki można zobaczyć ostrożnie wychylające się głowy.

Kolumna dotarła wreszcie do zabudowań pałacu we Wsi Narol. Tu czekały podstawione ciężarówkami. Załadowano aresztowanych na samochody, często niektórym ociągającym się pomagając kolbami karabinów. Kawalkada samochodów ruszyła naprzód. Dokąd? Może do Tomaszowa, może do Zamościa, a może na Majdanek?

Przywieziono ich do obozu w Zamościu. Samochody zajechały na obszerny plac, otoczony dookoła zasięgami z drutu kolczastego. Dalej w równych rzędach stały pobudowane drewniane baraki. „Raus! Raus!” – rozległy się głośne komendy esesmanów, ponaglające do szybszego wyładunku i ustawienia się w kolumnie. Gdy już wszyscy rozładowali się i ustawili w dwójkach, zaczęto ich liczyć grupami odprowadzać do baraków. Po jakimś czasie wszyscy byli „zakwaterowani”.

Przez środek baraku biegł wąski korytarz, a po obu jego stronach ustawione były piętrowe drewniane prycze. W tym dniu już posiłku nie było. Każdy żył zapasem spożytym jeszcze wczoraj na kolację lub nagromadzonym pod skórą w tkance tłuszczowej. Następnego dnia wcześniej rano zarządzono pobudkę i kazano ustawić się wszystkim na placu apelowym. Zaczęto dokonywać selekcji aresztowanych. Tych, którzy byli umieszczeni na listach jako podejrzani o działalność w ruchu oporu, ustawiano w oddzielnej kolumnie. Następnie umieszczano ich w baraku karnym, oznaczonym numerem 13. Pozostałych spisano na listy według numerów baraków i odprowadzono. Po niedługim czasie zarządzono wyjście na śniadanie. Ale nie było to żadne „wyjście”. To był wybieg, połączony z biciem drewnianymi pałkami po plecach, po głowach, gdzie popadło. Wszyscy ustawili się w kolejkę po czarną kawę i chleb. Ale to nie była czarna kawa, tylko jakaś brudna lura, ledwo ciepła. Woda nie była przegotowana i większość z aresztowanych po wypiciu jej siedziała w latrynie, mając dolegliwości żołądkowe i jelitowe. Nie mówiąc już o tym, że była zupełnie gorzka. Aresztowani nie mieli żadnych naczyń na kawę czy supę. Każdy radził sobie sam, własnym sposobem zdobywając jakieś blaszanki, puszki po konserwach, butelki. A byli i tacy, którzy po prostu fasowali swoje porcje do czapek. Każdy rano dostawał jedną ósmą bochenka chleba i kawę, na obiad – coś bardzo rzadkiego, przypominają-

cego niby zupę. Ale nie była to żadna zupa, tylko woda nagotowana z brukwi lub z liści buraków, w której bardzo rzadko można było znaleźć jakąś krupę lub kartofla. Na kolację była tylko czarna kawa. Tak wyglądała dzienna racja żywnościowa aresztowanego. Nie opisałem jeszcze chleba. To się tylko tak szumnie nazywało. Nie był to chleb pieczony z prawdziwej mąki. Pieczono go z małej ilości byle jakiejś mąki z dodatkiem dużej ilości innych komponentów, między innymi trocin drzewnych.

W barakach było takie zagęszczenie, że aresztowani spali na pryczach jeden obok drugiego na boku, bo nie było miejsca, aby się położyć na plecach czy na brzuchu. Nie było też żadnej pościeli ani nawet słomy, tylko gołe prycze. Największą jednak plagę stanowiły insekty: pluskwy, które gnieździły się w szparach prycz i ścian oraz wszy w ubraniach. Występowały w tak ogromnych ilościach, że nie sposób było je wybić czy wyłapać. Należało po prostu koszulę wytrześć, aby spadły na ziemię i podeptać je nogami. Nie mówiło się, że ludzie mają wszy, ale inaczej: że wszy mają ludzi. Najbardziej rozpowszechnionym widokiem był mężczyzna trzepiący swoją koszulę lub wybierający z niej wszy.

W obozie panował straszny reżim i terror. W każdym zbiorowisku ludzi trafiają się typy agresywne, bezwzględne, zdradzieckie, sprzedajne, gotowe pójść na współpracę z wrogiem w zamian za większą, bardziej gęstą porcję zupy, za lepsze traktowanie. Tak też było i tutaj. Wybierano młodych, zdrowych i silnych mężczyzn, obiecano im większą porcję i dawano do ręki drewniane pałki, aby pilnowali dyscypliny w baraku. Gdy zarządzano zbiórkę na placu, ci ludzie rzucali się na swoich współtowarzyszy niedoli i bili pałkami, aby szybciej biegli na plac. Niemcy patrzyli na to i byli bardzo zadowoleni, że sami współwięźniowie wzajemnie się maltretują. Bawiło ich to bardzo. Byli zadowoleni, że wśród więźniów są ludzie podobni do nich. Ci zaś, aby wykazać się służebnością i posłuszeństwem, żeby samemu uniknąć bicia, bardzo gorliwie wykonywali swoje czynności, wałąc po plecach swoich niedawnych sąsiadów ze wsi. W akompaniamencie głośnych krzyków i wrzasków, przy jednoczesnym waleniu po plecach pałkami, wypędzano więźniów obozu na plac. Tu kazano wszystkim klękać, jednocześnie ręce założyć na głowę i tak trwać. Pomiędzy szeregami przechadzali się butni i wyzywający esesmani, wybierając kogo im się podobało, kto bardziej wyglądał na podejrzanego lub na kogo los rzucił cień. Tych biedaków prowadzono na barak karny i tam bito. W ten sposób starano się wyciągnąć z nich wiadomości i zeznania oskarżające innych, a często i ich samych. Do tego bicia byli przygotowani specjaliści. Byli to włosowcy, Ukraińcy i gestapowcy, typy spod ciemnej gwiazdy, sadyści, wyzuci z jakichkolwiek pozytywnych uczuć, lubujący się w zadawaniu bólu i cierpień, w torturowaniu. Aby dobrze wypaść w oczach Niemców, robili to nadzwyczaj gorliwie. Człowiek po takim przesłuchaniu stawał się kupą nieruchomego, zbitego mięsa. Niektórzy nie wytrzymywali fizycznie tortur i ginęli na miejscu. Ich już nie przynoszono na barak, tylko chowano w nieznanym mi miejscu. Tych, w których kołatała się jeszcze dusza i tliła się iskierka życia, przynoszono do baraku i rzucono jak śmierzące ściervo na pryczę. Mieli oni poodbijane ciało od kości, bardzo cierpieli, jęczeli w strasznych bólach. Nikt się nimi nie zajmował. Nie było żadnej służby medycznej i nie robiono im opatrunków. Nie było zresztą żadnych środków opatrunkowych ani przeciwbólowych. Wprawdzie przychodził polski lekarz, tak samo więzień, który starał się pomóc tym biedakom, ale niestety nie miał ku temu żadnych możliwości. Ludzie ci przez kilka dni w ogóle nie podnosili się z pryczy, przez tydzień nie jedli. Mogli ich najwyżej zakropić wodą współmieszkańcy baraku. Obolałe ciało nie pozwalało wstać i stanąć w kolejce po zupę czy kawę. Współtowarzysze niedoli nie mogli im przynosić posiłku, ponieważ jeżeli ktoś oddał innemu swoją porcję, to sam nie zjadł. Każdy starał się jakoś przeżyć, dbać o siebie, o swoje życie i żoładek. Ale znajdowali się ludzie, którzy ze swojej skromnej porcji obozowej odlewali trochę zupy czy kawy i dzielili się z chorymi. Ratowali ich jak mogli, opiekowali się nimi, pomagali załatwiać potrzeby fizjologiczne, podprowadzali do latryny. To było bohaterstwo godne największego uznania. W takich warunkach, w takich okolicznościach ludzie ci mieli trochę serca dla innych, dla cierpiących, potrzebujących pomocy. Nie można powiedzieć, że wszyscy byli tacy. Niestety byli też egoiści, nieczuli na ludzkie cierpienie i niedolę, którzy dbali tylko o siebie. Na szczęście takich było niewielu. Większość jednak była dobra, uczciwa, zdolna do współczucia. Miała świadomość, że jutro, pojutrze ich może spotkać podobne nieszczęście.

Chciałbym tu podać nazwiska kilku ludzi, którzy byli w obozie torturowani i bici do nieprzytomności, a których ja znam z naszego terenu. Byli to: Michał Wojciechowski z kol. Wólka Łosiniecka, później wywieziony do obozu w Majdanku; Marcin Skiba z Huty Szumy; Kazimierz Muła z Huty Szumy; Stanisław Nieścior z Suśca. Było ich więcej, ale niestety nie znam ich nazwisk. Ludzie ci przeżyli. Dziś często są schorowani, niedołężni, są inwalidami wojennymi. Nie mają zdrowia, bo utracili je za drutami, w tym baraku, który był kaźnią śmierci i męczeństwa, piekłem na ziemi.

Tymczasem wieś Paary pogrążona była w głębokim smutku po ostatniej pacyfikacji i zabranii mężczyzn do obozu w Zamościu. Lato w tym roku było wyjątkowo ciepłe, na polach falowały dojrzewające łany zbóż. Najbardziej przykry był fakt, że kto inny zbierze plony w pocie wypracowane. Nie było mężczyzn. Kobiety oporządzały tylko dobytek, wykonywały prace niezbędne do życia: gotowały, prały, opiekowały się dziećmi i w wielkim strachu oczekiwały dalszych wydarzeń. Gromadnie zbierały się pod figurami wiejskimi, ustawionymi przy głównej drodze i głośno, chóralnie modliły się do Boga i Matki

Boskiej oraz śpiewały różne pieśni kościelne. Przednówek był w tym roku srogi, w większości komór zasięki były puste, tylko u niektórych co bogatszych gospodarzy można było jeszcze coś wyskrobać. Te skromne zasoby zboża wybierano i mielono na żarnach, z tej razowej maki pieczono chleb, placki i robiono kluski.

Monotonię życia na wsi pewnego dnia przerwała sensacyjna wiadomość. Z obozu w Zamościu wróciło dwóch chłopów: Skroban i Małka. Obaj byli Ukraińcami. Jakaż to radość zapanowała wśród kobiet! Biegały jak zwariowane i dopytywały się o swoich bliskich, często nie mając zielonego pojęcia, co się święci. Ci co wrócili, zmyślali po prostu, nie wiedząc o nich nic. Znajac warunki panujące w obozie, nie mówili prawdy. Zbywali ogólnikami, że są zdrowi, że żyją, że nie jest im tak źle. W kobiety wstąpiła nadzieja, że może z czasem wszystkich wypuszczą. Ale czar nadziei przysł pewnego dnia, kiedy Skroban i Małka oświadczyli, że wypuszczono ich tylko po to, aby zmobilizowali kobiety do wyjazdu do obozu celem połączenia się z mężczyznami. Do określonego dnia kobiety mają przygotować się do opuszczenia wsi. Wieś zostanie wysiedlona, a wszystkie mieszkańcy muszą opuścić swoje domostwa i jechać do obozu. W ten sposób uratują życie swoim mężom i całym rodzinom. Zabrać ze sobą można tylko najpotrzebniejsze ubrania i żywność. Sprzęt i cały dobytek (zwierzęta i drób) należy zostawić, bo tutaj zostaną nasiedleni Ukraińcy.

We wsi zawrzało jak w ulu. Toczyły się zażarte i nie kończące się dyskusje. Co robić? Jak postąpić? Jechać czy nie jechać? Słuchać rozkazów władz okupacyjnych czy się im przeciwstawić? Rozważano różne sytuacje i możliwości. Może uciekać? Ale dokąd? Do innych miejscowości? Wszędzie przecież są Niemcy. Do lasu? Jak? Kobiety z dziećmi do lasu? To niemożliwe. Wyłapią i wystrzelają jak kaczki. Naradzano się i dyskutowano w rodzinach, sąsiadka z sąsiadką. Większość uznała, że nie ma innego wyjścia, tylko jechać. Niech się dzieje wola boska. Co będzie, to będzie. Jeśli przyjdzie zginąć, to razem z mężami i ojcami. Wywiozą to wywiozą, ale całe rodziny, a nie rozdzielone. Jednak nie wszystkie kobiety zdecydowały się jechać. Widocznie uznały, że jeżeli ma się zginąć, to lepiej na własnych śmieciach, albo poświęcić mężów, a uratować życie sobie i swoim dzieciom.

Aż tu pewnego dnia kwestia wyjazdu do obozu została definitywnie wyjaśniona i załatwiona. Do wioski zjechały rodziny ukraińskie, które zajmowały poszczególne domostwa, siłą i groźbą usuwając dotychczasowych mieszkańców. Zabierano cały dobytek żywy i martwy, grunty, na których rosły falujące łany dojrzewających zbóż. Teraz już nie było żadnej wątpliwości: okupant z całą determinacją wcielał w czyn swoje plany pacyfikacji i germanizacji Zamojszczyzny.

Pośpiesznie łapano, co się dało: mąkę, jajka; wycinano kury i kaczki, gotowano je i przygotowywano do wywiezienia. Zabierano ser, a ze śmietany robiono masło. Wiedzano, jaki głód panuje w obozie. Pakowano najpotrzebniejsze ubrania i pościel. Wydawało się, że nie ma tego dużo, ale gdy przyszło wszystko to zabrać, wielkie toboły często ważyły po kilkadziesiąt kilogramów. Co starsze dzieci obarczano tobołami objętością przekraczającymi ich wzrost.

Czas wyznaczony na przygotowania do wyjazdu szybko minął. Władze okupacyjne wydały kategoryczny nakaz opuszczenia wioski. Nadszedł najstraszniejszy dzień w życiu mieszkańców Paar. Panował straszny lament kobiet i dzieci. Żegnano się z krową i koniem, do których było się przyzwyczajonym od lat i żal było je zostawiać obcym. Grozy i tragizmu tego dnia nie da się wyrazić żadnymi słowami, nie da się też opisać. Długi wąż furmanek na drewnianych kołach, zaprzężonych w konie różnej maści, ustawił się na drodze w kierunku Suśca. Drabiniaste wozy ładowano tobołami i usadowiano na nich płaczące i wrzeszczące głośno dzieci. Ruch, zgłęb, tumult jak na jarmarku. Ktoś jeszcze coś krzyczy. Jakaś kobieta płaczącym głosem woła do sąsiadki, inna biegnie do chałupy, bo czegoś zapomniała. Niektóre głośno wyjąc i płacząc żegnają się z krową, z kurą, z ziemią, padając i całując ją. Furmani ukraińscy i gestapowcy z Suśca ponaglają: „Chudko, chudko, siadajcie, siadajcie” – krzyczą Ukraińcy, „Schnel, schnel” – popędzają Niemcy. Niech się skończy ten płacz, lament, pisk i wrzask.

Widok, jaki przedstawiała wieś w tym dniu był okropny. Zdawało się, że się świat skończył, że dla tych ludzi nastąpił kres ich życia. Niemcy i Ukraińcy widząc, że nie będzie końca tych lamentów i pisków, zaczynają sięgać po „argumenty”. „Pomagają” kolbami karabinów co niektórym bardziej płaczącym i opieszalym, aby szybciej wsiadały na furmanki. Chcą zdążyć na określoną godzinę przyjazdu na stację kolejową w Suścu. Wreszcie wsiadły już wszystkie. Czoło kolumny, prowadzonej przez uzbrojonych gestapowców, już ruszyło. Po bokach i na końcu też jadą Niemcy. Strzegą, by wszyscy dojechali, by nikt się nie rozmyślił i nie zeskoczył z furmanki, dając nura w krzaki, do lasu. Ale nie ma komu skoczyć. Jadą przecież kobiety z dziećmi – te nie będą uciekać, nie będą ryzykować, nie mają szans uciec. Niemcy zaraz na początku zapowiedzieli, że będą strzelać.

Wszystkie wozy już jadą. Wolno, bo są przeładowane. Koła żeleźniaków głęboko wrzynają się w sypek piasek, konie mocno zapierają się grubymi nogami. Świszczą w powietrzu puszczane w ruch plecione baty ukraińskich furmanów. Na grzbietach końskich pozostają szerokie ślady uderzeń. Niektórzy furmani oszczędzając konie zeszedli z wozów i idą pieszo. Nie rozmawiają, bo nie mają co mówić. Nie są przyjaciółmi; lecz tymi, co zabierają dorobek wielu pokoleń. Zresztą o czym tu rozmawiać, skoro

i tak wszystko wiadomo. Wiozą ludzi do obozu. Wielu z nich już nigdy tu nie wróci. To ich ostatnia droga. Miny mają nietęgę, groźną, naburmuszoną. Na furmankach panuje natomiast ożywiona dyskusja, przepełniona lękiem i niepewnością. Kobiety trąkają jak najęte. A tego zapomniałam zabrać, a to i tamto miałam schować. Drabiniaste wozy głośno skrzypią, terkoczą, przechylają się to w jedną, to w drugą stronę na wyboistej drodze.

Po przeszło godzinnej jeździe kolumna dotarła wreszcie do Suśca. Jej czoło było już niedaleko stacji kolejowej, pozostałe wozy jeszcze w lesie. Na torze przy rampie stoi długi pociąg towarowy. Wagony pełne, kryte, takie jak na zboże lub cement. Drzwi szeroko pootwierane. Ciemna czeluść odstrasza. Różne myśli krążą po głowie. Żadna kobieta nie spieszy się z wsiadaniem. Każda jeszcze czeka. Może się coś zmienić? Może uda się jeszcze wrócić? Ale nie. Już Niemcy głośno szwargoczą, już krzyczą. Każą wchodzić i załadowywać się, nie mają czasu. Kobiety jak mrówki biegają to w jedną, to w drugą stronę, od furmanki do wagonu i od wagonu do furmanki. Wnoszą toboły i wprowadzają beczące dzieci. Wreszcie po załadowaniu wszystkiego wchodzi i one. Ale nagle zrobił się ruch. Kobiety szeptem podają sobie wiadomość, że Władek Łagowski wrócił się razem z Ukraincami do domu. Nie chce jechać razem z matką i siostrami do Zamościa. Widocznie był to jakiś dobry Ukrainiec, a może uznał, że będzie miał dobrego robotnika. Martwi się i płacze matka, co takie dziecko samo w domu robi, jak będzie żyło, jak da sobie radę wśród obcych ludzi. Ale mówią, że została babka Tekla Łagowska, to będzie się nim opiekowała.

Załadunek dobiegł końca. Ciężkie wagonowe drzwi z trzaskiem się zamknęły, zasunięte przez Niemców. Jest bardzo ciasno i duszno. Po kilkanaście rodzin zostało wciśniętych do jednego wagonu. Małe okienka u góry nie dostarczają potrzebnej ilości powietrza. Pot każdemu ścieka po twarzy, po plecach, po nogach, bo dzień gorący. Ale cóż zrobić? To nie wycieczka do Częstochowy.

Wagony stuknęły buforami i lokomotywa buchając w górę czarno-szarym snopem dymu ostro szarpnęła. Powoli, ociężale ruszyła, coraz bardziej przyspieszając, aż wreszcie przeszła w jednostajny miarowy rytm. Wagony jak lekkie, malutkie pudełeczka, głośno stukając kołami o szyny, podążają za nią. Nagle: „Boże, coś Polskę przez tak liczne wieki ochraniał blaskiem potęgi i chwały...” – rozległo się głośne echo w całym pędzącym pociągu. Potem inne pieśni nabożne aż do samego Zamościa.

Były też inne kłopoty oprócz strasznej duchoty. Dzieci, a i dorosłe kobiety chciały załatwić swoje potrzeby fizjologiczne, a w wagonie nie było odpowiednich urządzeń sanitarnych. Nie było więc innego wyjścia, jak tylko załatwić się po prostu w kacie wagonu. Tak też robiono. Ciasnota, duchota, odór z fekalii i moczu dopełniały grozy i tragizmu tego transportu, tej podróży.

Po kilku godzinach pociąg się zatrzymał. Nastąpiła martwa cisza. Ludzie nie wiedzieli co się stało. Czy to już cel podróży czy tylko jakiś przystanek? Drzwi długi czas się nie otwierały. Na zewnątrz słychać było jakieś rozmowy, głośne niemieckie krzyki i szwargotania. Wreszcie rozległy się piski i skrzypienie otwieranych drzwi. Wydano rozkaz wyładowywania się z pociągu. Z wagonów wysypały się kobiety i dzieci. Każdy dźwigał jakiś toboł, jeden albo dwa naraz. Wracano po nie do wagonów i znów wynoszono coraz to nowe. Ludzie uwijali się bardzo szybko, aby wszystko zabrać, by niczego nie zostawić. Wszystko co z domu wzięte, może być potrzebne. A tu Niemcy popędzają kolbami karabinów i pejcami lub po prostu pałkami. To już zupełnie nie ci sami Niemcy, którzy w Suścu nas załadowywali. Bardzo niedobrzy, brutalni, biją i popychają, krzyczą, traktują nas jak stado pędzonego bydła. Ludzie obładowani ciężkimi tobołami, złani potem, maszerują w szerokiej kolumnie od stacji w kierunku miasta. Każdy zmęczony trudami podróży ledwo powłóczy nogami. Upał, skwar, żar rozpalonego słońca leje się z nieba. Toboły stają się coraz cięższe, jakby ktoś dokładał ciężkich kamieni. Już me mam sił! Już dalej nie uniosę! Już rzucę! Ale nie wolno rzucić, me wolno zaśmiecać ulicy! Niemcy nie pozwalają. Nie ma innego wyjścia, jak dalej dźwigać, maszerować dalej. A droga daleka Gdzieniegdzie matki niosą małe dzieci na rękach, choć same ledwo idą obładowane tobołami. Starsze dzieci też niosą toboły. Idą obok matek płacząc drepczą prawie biegiem, bo Niemcy wciąż popędzają. Skarżą się, że nie mają już sił iść, po prostu padają ze zmęczenia, a tu wciąż nie kończąca się droga. Matki proszą je, mówią, że to już niedaleko, że muszą iść, bo nie ma innego wyjścia. Niemcy zastrzelą każdego, kto nie może iść, a toboły są bardzo potrzebne. Wszystko, co się w nich znajduje, jest potrzebne. Tam ojciec czeka na to. To już niedaleko, pocieszają, choć same me wiedzą, jak daleko jeszcze. Nigdy tu nie były, wiele z nich pierwszy raz jest w Zamościu.

Posuwano się więc powoli, tak jak na to starczało sił. Z boku kolumny, po obu jej stronach, szli Niemcy z karabinami i pistoletami w rękach tak jakby pędzili jeńców wojennych, jakby ktoś z kolumny chciał lub mógł uciec. Przypomniało mi się, jak ksiądz na religii mówił, że na sądzie ostatecznym grzesznicy w kolumnie będą szli do piekła. I myśmy tak szli. Jak na sądzie Bożym. Jak grzesznicy. Ale myślałem sobie, że jednak my me jesteśmy grzesznikami. My się modlimy, śpiewamy pieśni pobożne, więc nie idziemy do piekła. Więc dlaczego Pan Bóg nas tak karze? Miałem jak gdyby pretensję do Pana Boga. Dźwigałem swój toboł drepzcząc obok matki, która na jednym ręku miała dziewięciomiesięczną moją siostrę a w drugiej trzymając mnie. Obok szła moja babka Wróblowa z tobołami i ciotka Kasia „Heczycha”, jak ją popularnie na wsi nazywano, z sześciolatkiem synkiem Zdzisiem. On również dźwigał

jakiś toból, płakał i ociągał się. Nie miał już sił, a tu matka ponaglała i prosiła: „Chodź synku, chodź, to już niedaleko”. Droga ta wydawała się bez końca, ręce cierpły i mdlały od ciężaru, ale żadnego postoju nie było. Faktycznie było to jednak daleko. Marsz trwał bardzo długo, według mojej oceny kilka godzin. Wydawało mi się, że już nie doniosę, że nie dojdę, że upadnę. A tu jeszcze nie było widać końca tej piekielnej wędrówki! Co chwila pytałem mamę, czy jeszcze daleko, a ona wciąż mi odpowiadała, że już nie, chociaż sama nie wiedziała i wcale nie było jej lżej niż mnie.

Szliśmy cały czas jezdnią obok wysokich domów i kościołów. Nigdy przedtem takich nie widziałem. Wiedziałem, że jesteśmy w Zamościu, bo jeszcze w domu mówiono, że wszystkich chłopów wywieziono do łagrów do Zamościa i nas też tam wiozą.

Ostatnim wysiłkiem, resztką sił dotarliśmy wreszcie do celu. Droga ze stacji kolejowej do obozu w Zamościu ze względu na tragedię, jaka na niej się wydarzyła, powinna się nazywać „Drogą Męczeństwa Dzieci Zamojszczyzny”. Na tej trasie dzieci przeszły czyszciec na tej ziemi.

Naszym oczom ukazała się ogromna, szeroka brama, obok niej drewniana budka i hitlerowcy. Wielu hitlerowców. W jedną i drugą stronę ciągnęło się ogrodzenie z drutu kolczastego. Wszyscy rzucili z siebie toboły. Padli na ziemię i na bagaże zupełnie wykończeni, zmęczeni do granic wytrzymałości. Nie wiedzieliśmy, co się wokół nas dzieje. Byliśmy prawie nieprzytomni. Podróż w zatłoczonym wagonie, spiekota i duchota, odór śmierdzących fekalii, a do tego jeszcze marsz w pełnym rynsztunku. To wszystko było ponad nasze siły. Dzieci siedziały lub leżały jak zwiędłe roślinki.

Znów wszystkich poderwano na nogi, ustawiono w kolumnie. Zaczęto wyczytywać nazwiska. Kobiety głośno odpowiadały. Wyczytane przechodziły na drugą stronę. Czekałem, na naszą kolej. Wywołują znanych mi mieszkańców naszej wsi, a nas ciągle nie. Aż wreszcie słyszę nasze nazwisko. Jakby prąd przeszył moje ciało. Zerwałem się na równe nogi, mama też. Przeszliśmy na drugą stronę. Rozglądam się, gdzie tu może być ojciec, szukam go wzrokiem we wszystkich kierunkach. Nie znajduję. Pytam mamę, ale ona też na razie nie widzi. Dopiero później prowadzą całą grupę do odpowiedniego baraku oznaczonego numerem 14. Idąc po drodze rozglądam się. Obok baraków stoją i siedzą mężczyźni. Wszyscy wykonują tę samą czynność, a mianowicie trzepią koszule i inne części garderoby, albo wybierają z nich insekty i rozgniatają je w paznokciach. Był to widok śmieszny, a zarazem bardzo przygnębiający. Wreszcie dochodzimy do baraku, w którym przebywają nasi ojcowie. Oni też wiedzieli, że nas przywieziono. Wszyscy wyszli przed barak i czekali, kiedy nas przyprowadzą. Zobaczyliśmy ich, ale jakże zmienionych. Zarośnięci, twarze chude, wymizerowane. Ubrania te, w których zostali zabrani z domu. Poznają wielu znajomych z naszej wioski. Ci sami, ale zmienieni nie do poznania. Szukam wzrokiem wśród wielu mężczyzn twarzy mojego ojca. Poznają dziadka. Jakiś mniejszy, choć i tak był niedużego wzrostu. Już się z nami wita. Całujemy się. Mama z babką płaczą, ciotka też. Wszyscy się całują. Jest, jest i ojciec. Całuje się z matką, z nami, z babką i z ciotką. Wszyscy głośno szlochamy. Z radości, że się widzimy; z żalu, że w takich okolicznościach. Z tęsknoty. Wreszcie nie wiem z czego. Pocałunkom nie ma końca. Wydaje się, że trwa to dość długo. Rozglądam się dookoła. Wszędzie znajome twarze. Wszyscy robią to samo. Wszyscy się całują i płaczą: dzieci, kobiety i mężczyźni, bez wyjątku. To najbardziej mnie przygnębiło. Nigdy nie widziałem płaczących chłopów, rozmazanych i umorusanych łzami jak dzieci. To było dla mnie największym przeżyciem. Kobiety szlochały i przez łzy opowiadały o domu, o przygotowaniach do wyjazdu do obozu, o samym wyjeździe, o Ukraińcach, którzy zajęli gospodarstwa, o tym, że musiano wszystko zostawić. Był to widok ściskający za serce nawet najbardziej twardych chłopów, najbardziej odpornych na wzruszenia. I oni płakali.

Wreszcie zaczęto kwaterowanie w barakach. Ogromna ciasnota. Trudno się przepchać do swoich, trudno się minąć. Korytarz wąski, a ludzi mnóstwo. Napychano nas jak śledzie do beczki, aby jak najwięcej wcisnąć. Panował niesamowity ruch, zgiełk, tłok. Wszyscy gdzieś się pchali, gdzieś się śpieszyli, chcieli zająć jak najlepsze miejsce, najlepszą prycę, choć wiadomo, że wszystkie byty jednakowe, zbite z desek. Ale prycze były piętrowe i niektórym lepsze wydawały się te na piętrze, bo unikało się ciosów zadawanych bykowcami lub pałkami przez gestapowców. Według innych natomiast lepsze byty na parterze. Szczególnie dla tych rodzin, które miały małe dzieci. Mogły one bardziej sprawnie wejść na prycę, nie trzeba było wdrapywać się wysoko. I dlatego każdy chciał zdobyć dla swojej rodziny jak najlepszą miejsce. Były przy tym kłótnie i przepychanki, zwierzęca walka o przetrwanie.

Nam dostała się prycza na parterze. Widziałem, że ojciec był zadowolony. Nad nami mieszkała jakaś rodzina z Narola, z małymi dziećmi, które ciągle płakały, że nie można było usnąć. Często i lały na prycę, a mocz szparami ściekał na dół. Ja uważałem, że źle nam się powiodło. Wolałbym „mieszkać” na piętrze. Wtedy byłby lepszy widok i nikt by w zupę nie lał. Ale niestety nie było możliwości wyboru, trzeba było „mieszkać” tu, gdzie popadło. Sąsiadów z boku nie pamiętam. Utkwili mi w pamięci tylko ci, którzy mieszkali nad nami, a to ze względu na konieczność częstego znoszenia konsekwencji załatwiania potrzeb fizjologicznych przez ich dzieci.

Dano sygnał zbiórki po posiłek. Wszyscy tłumnie zaczęli wysypywać się z baraków i ustawiać w kolejkę. Dorośli i dzieci. Każdy musiał nastawiać naczynie dla siebie, nikt dla nikogo nie mógł wziąć porcji, chyba że oddał mu swoją. Sytuacja z naczyniami trochę się polepszyła, bo rodziny przywiozły ze

sobą różne garnki, talerze, kubki. Przynajmniej było w co pobrać porcję zupy czy kawy. Przedtem bywało różnie. Mężczyźni nie mieli żadnych naczyń, gdyż zabierano ich często podczas ucieczki, wygarniano. Z konieczności więc szukali jakichś puszek po konserwach, butelek, które przeryniali sznurkami na dwie połowy. Niektórzy nie mieli w ogóle naczyń, toteż byli zupełnie nie przygotowani do życia w warunkach obozowych. Nie mieli w czym jeść, więc pożyczali naczynia od innych, albo fasowali porcje do czapki, co wzbudziło śmiech i drwinę Niemców. Sytuacja zmieniła się po przyjeździe rodzin.

Zaraz pierwszej nocy dane nam było poznać smak obozowego życia. Nikt z nowo przybyłych tej nocy nie spał. Mrowie, ale to dosłownie mrowie wszy rzuciło się ze szczególną zjadliwością na nasze ciała. A najbardziej smakowała im świeża, młoda krew dzieci. Wszystkie dzieci więc przez całą noc głośno płakały, żaląc się rodzicom, że strasznie coś gryzie. Ci zaś byli bezradni. Sami zresztą byli obiektem ataku tych insektów. Nie było możliwości obrony przed nimi. Dodatkową plagą były pluskwy – insekty większe i bardziej dokuczliwe. Po ich ukąszeniu na ciele pojawiały się duże, czerwone, mocno swędzące bąble. Pluskwy dawały się we znaki szczególnie nocą, gdyż spadały na nas z sufitu. Nie było żadnego skutecznego sposobu tępienia ich. Wszy po prostu strzepywano z ubrań, a gdy spadały na ziemię – deptano. Te, które zostawały w zakamarkach ubrań, wybierano i zabijano po jednej na paznokciu. Oprócz ostrych rygorów obozowego życia, obok panującego głodu, insekty były dodatkową straszną plagą dokuczającą wszystkim, a szczególnie dzieciom. Trwało to przez cały długi okres pobytu w obozie, od pierwszego dnia i pierwszej nocy, kiedy zostaliśmy zawszeni. A wiadomo, że gdzie insekty, tam i choroby zakaźne. Toteż szerzyły się one w obozie, szczególnie tyfus, ale i inne. Panowało powszechne przekonanie wśród uwięzionych, że to właśnie insekty powodują śmierć wielu dzieci. Faktycznie jednak dzieci umierały z głodu, wskutek fatalnych warunków sanitarnych, braku ciepłej wody, opieki medycznej i wielkiego zagęszczenia w barakach oraz ostrego reżimu obozowego. Do tego wszystkiego dochodziło robactwo, które dokonywało straszliwych spustoszeń w ludzkich organizmach, przysparzało dodatkowych cierpień.

Lato w tym roku było wyjątkowo upalne. Żar lał się z nieba, nie było miejsca, gdzie można by skryć się przed skwarem. Baraki zapchane do granic możliwości – po prostu pękały w szwach. Przebywało się ciągle na placu obozowym, co również dokuczało więźniom, szczególnie dzieciom.

W dzień głównym zajęciem było tępienie insektów. W nocy zamiast spać, opędzaliśmy się od wszy i drapaliśmy. Brak wystarczającej ilości wody do picia dopełniał jeszcze cierpień. Strach jednak przesyłał ciało na wyłot, gdy zbliżała się upragniona noc. Zmęczenie sięgało zenitu. Ciało bezwładnie padało na prycze, wymagało odpoczynku, a tego odpoczynku nie było. Straszny zaduch, brak świeżego powietrza, ciasnota na pryczach, na których z trudem można było się pomieścić leżąc na boku oraz płacz dzieci – nie pozwalały usnąć. No i te insekty, o których już szeroko wspomniałem. Oto prawdziwy obraz obozowej nocy, obozowego życia. Do tego dochodził jeszcze głód, terror psychiczny i fizyczny, nie kończące się śledztwa, bicie i zadawanie wyrafinowanych tortur cielesnych. To był obóz „przejściowy” w Zamościu. Przejściowy, bo przebywało się tu tylko pewien czas, po czym było się wywożonym do innego obozu lub na przymusowe roboty do III Rzeszy.

Krażyły pogłoski, że wszystkie rodziny połączone w obozie zostaną wywiezione na roboty do Rzeszy. Skądś ludzie zdobywali skąpe informacje. Wstąpiła w nas nadzieja, że może nas stąd wywozą i skończy się ta gehenna. Bo przecież gorzej już nigdzie nie będzie. Nawet w piekle. Z niecierpliwością oczekiwano na potwierdzenie tej wiadomości z bardziej autorytatywnych źródeł. W niedługim czasie zaczęto sporządzać imienne wykazy wszystkich osób przybyłych z naszego transportu. Spisywano ludzi całymi rodzinami, pytając o szczegółowe dane osobowe. Wszyscy byli podnieceni tym faktem. Była w nim jakaś iskra nadziei, że nas stąd wywozą. I rzeczywiście, wkrótce zarządzono przygotowania do ewakuacji z obozu. Wszyscy gorączkowo pakowali swoje rzeczy. Powstał nieopisany entuzjazm, radość, że się stąd wydostaniemy.

Pewnego dnia, jak sobie przypominam niezbyt dokładnie, było to w porze wieczornej, zarządzono opuszczenie baraków i wyjście na plac ze wszystkimi tobołami. Ludzie w pośpiechu opuszczali baraki, jakby się bojąc, żeby nie kazano im do nich wracać. Jakiś mężczyzna stojący na podwyższeniu donośnym głosem wyczytywał przez tubę nazwiska i imiona mężów i ojców rodzin, którzy z żonami i dziećmi podchodzili do stolika. Tu odbywało się dokładne sprawdzanie danych osobowych. Po tej czynności przechodziło się na drugą stronę stolika i czekało. Czekanie to przeciągało się w nieskończoność. Ludzi było bardzo dużo, a Niemcy sprawdzali każdego nader dokładnie, aż do późnej nocy. Pamiętam, że zasnęliśmy na tobołach. Wreszcie podjechały ciężarówki i ludzie zaczęli się na nie załadowywać. Nikt nie wiedział dokąd nas powiozą. Okazało się, że powieziono nas nie na dworzec, ale znacznie dalej. Podróż trwała około 2,5 godziny. Trafiliśmy do Lublina. Wróciło przygnębienie, bo przeniesiono nas tylko z jednego obozu do drugiego.

Tak jak w zamojskim obozie nas zawszono, tak tu w lubelskim zaczęto nas odwszawiać. Zaraz po przywiezieniu wszystkich skierowano do łaźni, a ubrania zabrano do dezynfekcji. Do łaźni skierowano oddzielnie mężczyzn, oddzielnie kobiety. Pierwszy raz ja i moi wszyscy rówieśnicy byliśmy w łaźni z prawdziwymi natryskami, z ciepłą i zimną wodą. Gdzie tam kto kiedy na wsi był w łaźni! Kazano się

wszystkim rozebrać, ubrania złożyć i związać czymś, aby się nie pogubiły i aby po dezynfekcji łatwiej było je odszukać.

Weszliśmy do dużej, obszernej hali, w której było już mnóstwo kobiet i dzieci. Pierwszy raz w życiu zobaczyłem nagie kobiety. Ujrzałem mnóstwo kobiecych brzuchów i obwisłych, dużych piersi. Był to dla mnie oszałamiający widok. Nigdy w życiu nie widziałem tyłu brzuchów i takich brzuchów. Były najprzeróżniejsze: jedne małe, normalne, szczególnie u młodych kobiet, inne duże, obwisłe, pofałdowane, niektóre miały olbrzymie fałdy zwisające aż do łona, jeszcze inne wypukłe, nadęte, wklęsłe, zapadnięte, cała gama najprzeróżniejszych brzuchów. Właśnie te brzuchy tak mi utkwiły w pamięci, że do dziś je widzę, jak zamknę oczy i przypomnę sobie tę łaźnię.

Dano nam nawet mydło do mycia. Wprawdzie było szare, ale zawsze mydło. Kobiety najpierw szorowały dzieci, a potem siebie. Czasu było dosyć. Nakazano nam dobrze się umyć. Niemcom chodziło widocznie o to, aby nie zawieźć polskiego brudu i wszy do Rzeszy. Tak odświeżeni i umyści czuliśmy się jak nowo narodzeni. Nie ciążył bród i nie czuło się zmęczenia. Wróciły siły, wróciła radość, było lżej.

Na robotach w Austrii

Załadowano nas do pociągu towarowego i powieziono w świat. Dokąd nas wieziono i tym razem nie wiedzieliśmy. Mówiono, że na roboty do Niemiec, ale nie były to wiarygodne wiadomości. Ponadto kierunek, w którym jechaliśmy, nie był zachodni, a raczej południowy. Podróż była długa i męcząca, posiłki wydawano na stacjach, na których pociąg dłużej się zatrzymywał. Wtedy wszyscy wysiadali i ustawiali się w kolejkę po zupe.

Wreszcie po kilku dobach podróży dowiedzieliśmy się, że jesteśmy w Austrii, w mieście Gratz. Tu ulokowano nas w obozie w drewnianych barakach. Otoczony był drutem kolczastym i pilnowała go niemiecka straż.

Po kilku dniach pobytu, po pierwszym oswojeniu się, postanowiłem z jednym kolegą wydostać się pod drutami do miasta. Toczyło się tu normalne życie, jeździły samochody, chodzili wolni ludzie, sprzedawano w sklepach różne towary, napoje. Wyczołgaliśmy się na zewnątrz, na ulicę, gdyż obóz znajdował się w mieście. Weszliśmy do sklepu, w którym sprzedawano artykuły spożywcze i poprosiliśmy o bułkę, pokazując palcem co chcemy dostać, gdyż nie znaleźliśmy języka niemieckiego. Sklepowa ulitowała się nad nami. Widząc dzieci z obozu dała nam po dwie bułki i po butelce oranżady. Zaopatrzeni w te produkty pobiegliśmy z powrotem w stronę drutów. Wypatrzyliśmy wartownika, który szedł w przeciwnym kierunku, odwrócony do nas plecami. Zaczęliśmy się czołgać pod drutami. Kolega szybko sobie poradził i pędził co sił w nogach do baraków, ja natomiast zaczęłem ubraniami o drut i mocowałem się z nim bezskutecznie. W tym czasie wartownik zawrócił i zbliżał się w moim kierunku. Zimny dreszcz obleciał moje ciało. Z wielką siłą szarpnąłem się, drąc na plecach ubranie, a tym samym uwalniając się z pułapki. Szybko biegłem w stronę baraków. Wartownik, będąc w odległości 150, a może 200 metrów zobaczył mnie, uciekającego od strony drutów. Zdjął z ramienia karabin i zaczął strzelać w moją stronę. Nie wiem jak biegłem, wydawało mi się, że wiatr mnie niesie, że nie dotykam nogami ziemi. Pędziłem jak strzała, trzymając w ręku zdobycz. Myślałem tylko o tym, aby jak najszybciej dopaść baraku. Dopadłem. Byłem uratowany! Wpadłem do środka i wskoczyłem na górną prycę, przykrywając się czymś. Leżałem tak długi czas, nie śmiąc wychylić nosa. Czekałem, czy ktoś nie będzie mnie szukał, ale na szczęście wszystko skończyło się dobrze. Zdobyłem dwie bułki i oranżadę w tajemnicy przed rodzicami. Z dumą podzieliłem się swoją zdobyczą z siostrą. Więcej jednak już nie ryzykowałem, za drogo to mogło kosztować. Zresztą rodzice dowiedziawszy się o mojej wyprawie kategorycznie zabronili mi opuszczania baraku bez ich zgody i wiedzy.

Po jakimś czasie znów zarządzono przygotowania do ewakuacji. Od nowa pakowano toboły i szykowano się do wyjazdu. Załadowano nas do towarowego pociągu i powieziono w nieznanym kierunku. Krajobraz był przepiękny, jechaliśmy bowiem przez Alpy. Poprzez małe okienka w wagonach i szpary w nie domkniętych drzwiach podziwialiśmy uroki gór. Jechaliśmy jednak nie turystycznie, ale wieziono nas do niewoli. Po pewnym czasie pociąg zatrzymał się na stacji i jakiś Niemiec, widocznie wyższy rangą, zaczął wyczytywać nazwiska rodzin z naszej wsi. Wywołanym kazano wyładowywać się z pociągu. Nastąpiła konsternacja. Co mają zamiar z nami zrobić? Dlaczego wszystkich nie wyładowują? Zaczęto się w pośpiechu żegnać z wysiadającymi, życząc sobie nawzajem, żeby jeszcze kiedyś się zobaczyć. Nas i wielu innych powieziono dalej. Znów co jakiś czas pociąg zatrzymywał się na stacji i kolejne grupy rodzin wyładowywano z pociągu. Już wysiadła ciotka ze swoją rodziną, dziadek z babką, a nas ciągle wieziono dalej. Aż pewnego popołudnia pociąg po raz kolejny zatrzymał się na małej stacji położonej wśród bardzo wysokich gór. Na „naszej” stacji, bo tym razem wyczytano również i nas i Buczków Józia i Bronka, Bondyrów, Żołądków i wiele innych rodzin, ale już nie pamiętam jakich. U miejscowego bauera zjedliśmy kolację i ulokowano nas na nocleg w stodole na sianie.

Następnego dnia zbudzono nas bardzo wcześnie, dano śniadanie, a po nim kazano wyjść na podwórze. Tutaj wszyscy czekali na swoją kolej, na swojego „kupca”. Zjeżdżali się z okolicznych miejscowości bauerzy i wybierając jak w ulęgalkach zabierali poszczególne rodziny do swoich gospodarstw. Nasza rodzina i kilka innych nie miały zbytniego pokupu, a to ze względu na małe dzieci. Im potrzebni byli robotnicy, a nie rodziny z maluchami. Ojciec rozumiejąc trochę język niemiecki słyszał, jak „sprzedający” namawiał „kupującego nas” bauera. Przekonywał go, że teraz ma dwoje dorosłych robotników, a z czasem, gdy ci się zestarzeją, z dzieci wyrosną młodzi robotnicy. Ten argument widocznie przemówił do „kupującego”, bo zdecydował się i zabrał nas. Niemcy widać byli przekonani, że Rzesza będzie trwała całe wieki, skoro wierzyli, że z nas, małych niewolników, wyrosną duzi niewolnicy, którzy zastąpią w przyszłości swoich rodziców i przez całe życie będą musieli pracować na naród o „błękitnych” oczach i „błękitnej” krwi. Los nasz był już przesądzony – mieliśmy na zawsze pozostać niewolnikami. Tylko dzięki zwycięstwu koalicji antyhitlerowskiej nasz los i innych narodów się zmienił.

Do domu bauera przywieziono nas w godzinach południowych. Tu na spotkanie wysła starsza, siwawa, szczupła pani. Była to gospodyni domu. Powitała nas z leciutkim uśmiechem na twarzy i zaprosiła do jadalni. Wyszli nas zobaczyć już pracujący tu robotnicy: Ukrainiec Aleksy z żoną Michaliną i Polka Paulina. Nazwisk niestety nie pamiętam, gdyż wszystkich wołało się po imieniu. Ojciec ze względu na to, że bauer nie mógł wymawiać jego imienia, które widocznie fonetycznie za trudne było dla niego, został „ochrzczony” Alojzym, mama Ewa, ja natomiast byłem Ajny. I tak już pozostało do końca naszego tam pobytu.

Przedstawiliśmy się sobie nawzajem, a następnie podano posiłek. Nie wiem czy to był obiad, czy podwieczorek, bo składał się z surowej kapusty z kminkiem, którego nawiasem mówiąc bardzo nie lubiłem i z zupy po naszymu zwanej polewką oraz chleba. Pieczywa było pod dostatkiem. Od wielu miesięcy nie mieliśmy tak dużo chleba. Zdawało mi się, że się go nie najem, że zabraknie na stole. Chciałem się rzucić na niego i jeść, jeść, jeść. Ale przesyty wzrokiem rodziców zrozumiałem, że nie wolno, że nie wypada. Podjedliśmy jednak do syta od wielu miesięcy. Od dłuższego czasu pierwszy raz się najadłem. Mama miała obawy, abyśmy się z siostrą nie pochorowali, ale jakoś obeszło się bez komplikacji. Po posiłku zaprowadzono nas do „naszego mieszkania”. Było to niewielkie pomieszczenie wygospodarowane w stajni, składające się z jednego „pokoju”, w którym było jedno okno, drzwi wyjściowe, podłoga drewniana, jakieś stare łóżko i na zimę dostawiany żelazny piecyk. Tak wyglądał komfort „naszego” mieszkania. Najważniejsze jednak, że było „nasze”, że nie był to obozowy barak, a w nim setki ludzi i esesmani. W porównaniu z tym, co do tej pory przeżyliśmy, wydawało nam się luksusem.

Rodzice rozpakowali nasze toboły i jakoś się urządziliśmy. Mieszkać mieliśmy gdzie, spać było na czym, a na posiłki chodziliśmy do jadalni. No i tak zaczęło się nasze niewolnicze życie w obcym kraju, u obcych ludzi, mówiących zniechęcającym językiem, z dala od bliskich i znajomych. Zdani byliśmy sami na siebie, na los jaki zgotują nam ci obcy ludzie. A „urozmaicali” nam życie przez cały nasz pobyt. Bywało jako tako, ale bywało i bardzo źle.

Wioska nasza nazywała się Untermittlerdorf i położona była w malowniczej dolinie, otoczonej ze wszystkich stron wysokimi górami – Alpami. Przez wieś, tuż obok naszego domu przepływała mała, rwąca górską rzeczką. Miała krystalicznie czystą, zimną wodę. Wpadała nieopodal do dużej rzeki zwanej Drawą. Gmina mieściła się w miejscowości zwanej Ruden, oddalonej o około 7 kilometrów. Była to osada mieszcząca podstawowe organy administracji państwowej: urząd gminy, posterunek policji oraz Arbeitsamt, urząd w którym załatwiano wszystkie sprawy dotyczące obcokrajowców zatrudnionych jako robotników. W Ruden było kilka sklepów, restauracja, stacja benzynowa oraz rozlewnia piwa lub browar, do którego często jeździłem z tatą po piwo. Naszym powiatem było już większe miasto Folkemark. Tu mieściły się urzędy wyższego szczebla, wiele instytucji powiatowych. Miasto wojewódzkie oddalone było o ponad 100 kilometrów i nazywało się Klagenfurt.

Następnego dnia po naszym przybyciu nastąpiła prezentacja gospodarstwa i przydział czynności dla poszczególnych robotników. Gospodarstwo było własnością rodziny Latschen. Na czele rodziny stał ojciec, Walentyń. Miał żonę oraz dwóch synów. Synowie, obaj już dorośli, w czasie naszego pobytu służyli w wojsku. Starszy, Volty, walczył w randze kapitana na froncie zachodnim. Jego żona mieszkała razem z bauerką. Młodszy syn był jeszcze kawalerem i służył na froncie wschodnim. Gospodarstwo liczyło 15 hektarów ziemi ornej. Należały do niego również łąki i pastwiska. Właściwie były to dwa odrębne gospodarstwa: jedno we wsi, przy budynku mieszkalnym i drugie, oddalone o około 1 kilometr od wsi, położone na zboczach gór. Inwentarz żywy składał się z 2 par koni, około 20 dojnych krów, około 80-100 sztuk trzody chlewnej, około 20 owiec no i bardzo dużej liczby drobiu. W budynku, w którym mieszkali gospodarze wraz z synową, mieściła się także gospoda (piwiarnia), tzw. gasthaus. W dużej murowanej oborze, w której stały krowy oraz konie, wygospodarowano miejsce dla robotników. My również tam mieszkaliśmy. Nad oborą natomiast, jakby na strychu, znajdowała się stodoła na pasze suche, siano i słomę. Oddzielny murowany budynek przeznaczony był dla trzody chlewnej i drobiu. Na drugiej gospodarce, tej oddzielnej, u podnóża gór, też była duża murowana obora, w której

trzymano młode bydło hodowlane i bukaty. I tu stodoła urządzona była na piętrze. W budynku tym mieszkali jeńcy wojenni – Francuzi, którzy pracowali u różnych gospodarzy we wsi. Przychodzili tylko po robocie. Praca nie była zmechanizowana. Mimo iż gospodarstwo było dość duże, wszystko robiło się ręcznie – tak przy oporządzaniu bydła, jak i trzody chlewnej oraz w polu. Nie było ciągnika, a wszystkie prace wykonywano końmi.

Matce przydzielono oporządzanie trzody chlewnej i drobiu. Ukraińiec z żoną zajmowali się bydlęciem mlecznym. Ponadto wszyscy oprócz tych swoich obowiązków pracowali w polu. Ponieważ prace nie były zmechanizowane, były ciężkie, a ponieważ było ich bardzo dużo, trwały od świtu do nocy. Odpoczywało się tylko podczas posiłku i snu. Pozostały czas był wypełniony ciężką harówką. Tak ciężką, że gdy przyszła noc i odpoczynek, to wszystkie kości bolały, że trudno było znaleźć dobrą pozycję do snu. Jednak zasypiało się szybko kamiennym snem, tym bardziej, że rano znów należało wrócić do tych samych codziennych zajęć: ojciec do filtrowania koni, matka do parowania ziemniaków, przyrządzania karmy oraz karmienia świń. Codziennie to samo. Nie było niedziel ani świąt, bo wszystko co żyje potrzebuje jeść, wszystko trzeba nakarmić, z tą tylko różnicą, że w niedzielę i święta nie idzie się w pole. Należy jednak zaznaczyć, iż mimo wykonywania ciężkich prac, tak latem, jak i zimą po kilkanaście godzin na dobę – jeść się nie chciało. Jeżeli się wszystko zjadło i na stole nic nie zostawało, to gospodyni dokładała. Jeśli chodzi o jakość wyżywienia, to było dobre i smaczne, szczególnie jak się człowiek ciężko napracował. Do roboty goniono ciągle popędzając: „schnell! schnell!”, ale jedzenia nie brakowało – to trzeba bezstronnie powiedzieć. Bardzo poważnym jednak mankamentem było to, że nasz gospodarz był pijakiem, mało kiedy trzeźwiał. Co pił? Otóż w Austrii zawsze jesienią wyrabiano się bardzo dużo moszczu z owoców, po kilka tysięcy litrów. Moszcz ten przechowywany był w olbrzymich drewnianych beczkach, leżakujących w piwnicy po kilka, a nawet kilkanaście lat. Stąd też był bardzo mocny. Zawierał duży procent alkoholu. Wystarczyło wypić dwa-trzy litry, by być pijanym. Nie trzeba było nigdzie chodzić ani nic kupować. Stał u każdego w piwnicy. Był to, można powiedzieć, narodowy napój, bardzo smaczny i bardzo zdrowy. Pili go na co dzień, do każdego posiłku, ale w umiarkowanych ilościach – dla zdrowia. Nasz bauer natomiast pił go tyle, że prawie codziennie był pijany i to do tego stopnia, że się wtedy zawsze awanturował, kłócił, wrzeszczał, gonił do roboty. Najczęściej obiektem jego ataku byli oczywiście robotnicy, ale nie tylko oni. Zdarzało się też nieraz, że stawał się agresywny wobec żony lub synowej. Wtedy interweniowała policja. Największym jednak niebezpieczeństwem było to, że posiadał broń i mógł jej w każdej chwili w przypływie furii użyć, gdyż właśnie w stanie zamroczenia alkoholowego odgrażał się, krzycząc, że będzie strzelał, jeśli się natychmiast nie zrobi tego czy tamtego. Należało więc dokładnie i skrupulatnie, w bardzo szybkim tempie wykonać jego polecenie, bo z pijanym nigdy nie wolno zadzierać, a szczególnie jeśli to jest wróg i ma broń.

Bauer był postrachem całego domu. Kiedy był pijany, każdy go unikał, starał się zejść mu z drogi, ukryć się gdzieś w ciasnej dziurze. Nie zawsze się to udawało. Zazwyczaj dopadał kogoś z robotników i wyładowywał się na nim. Choć trzeba zaznaczyć, że mimo wszystko do bicia się nie brał. Krzyczał i wrzeszczał, skakał do oczu, do gardła, wymachiwał rękami, groził pięściami, ale nie bił. Wiedział, że jeżeli będzie maltretował, to mu ich zabiorą i wtedy będzie sam pracował na gospodarce, bo synowie w wojsku. Gospodynię czasami poturbował. Wtedy przyjeżdżała policja. Cała okolica go znała – i w gminie i w powiecie i na posterunku policji.

Pewnego dnia rano po obrządkach w oborze robotnicy zebrali się w stołówce i spożywali śniadanie. Już od rana wyczuwało się, że tego dnia stanie się coś złego. Mieliśmy jakieś wewnętrzne przeczucie. Wszyscy po śniadaniu otrzymali dyspozycje, co mają robić i rozeszli się do swoich zajęć. Mnie mama grubo ubrała, bo rano było wyjątkowo zimno. Wyprawiła mnie jak zawsze do pasienia owiec i jałówek, a było tego sporo, bo około 30 owiec i 20 jałówek. Jak na dziesięcioletniego chłopca aż za dużo. Było za czym ganiać i czego pilnować, tym bardziej, że pastwisko znajdowało się w środku pola. Ze wszystkich stron rosły rośliny uprawne i należało pilnować, aby jałówki i owce nie weszły w szkodę, bo wtedy była bura ze strony rodziców. Bauer wyżywał się za mnie na nich. Tego dnia jakoś bydło i owce pasły się dobrze, więc przyprowadziłem je w południe do domu, aby napoić i zapędzić do obory. Gdy znalazłem się na podwórku, zobaczyłem pijanego bauera. Ganiał jak szalony po podwórku, szukając pretekstu, aby kogoś zaczepić. Wszyscy robotnicy w tym czasie jedli drugie śniadanie w jadalni, nie było więc nikogo w pobliżu. W tym czasie przepędziłem właśnie bydło i owce, więc natychmiast znalazł się obiekt, na którym można się było wyładować. I tak też się stało. Bauer doskoczył do mnie i zaczął wściekle krzyczeć, wymachując rękami. Tupął z wielką siłą nogami o ziemię, aż wreszcie zabrał się za mnie, dając mi lanie po tyłku i po plecach, ciągnął z wielką siłą za uszy. Ja, przestraszony takim obrotem sprawy, zacząłem głośno krzyczeć i płakać. Usłyszeli to rodzice. Ojciec kroił w tym czasie chleb. Wpadł na podwórko, zapominając ze zdenerwowania, że trzyma w ręku długi kuchenny nóż. Chwył gospodarza za tzw. oszewkę i zaczęli się szamotać. Bauer, gdy zobaczył w rękach ojca nóż, mimo że był pijany przestraszył się, wyrwał się i uciekł do mieszkania. Matka i inni robotnicy doskoczyli do ojca i zaczęli go powstrzymywać, gdyż chciał jeszcze gonić za gospodarzem do mieszkania, ale go nie

puszczono. Zrobił się straszny zgiełk i tumult na podwórzu, wybiegła zaalarmowana krzykiem gospodyni i synowa pytając, co się stało. Stałem przy mamie i płakałem. Mama i siostra też płakały. Ojciec przytrzymywany wciąż przez Ukraińca dopiero po pewnym czasie, gdy ochłonął, zrozumiał, że popełnił wielki błąd, rzucając się z nożem na bauera, że grożą mu za to surowe konsekwencje. Jest wojna, on jest niewolnikiem, a rzucił się z nożem na swego pana. Za taki czyn może być rozstrzelany, a w najlepszym wypadku wywieziony do obozu koncentracyjnego. Co teraz robić? Gorączkowo zaczęto się naradzać, dyskutować z robotnikami, z gospodynią i synową, które też nie lubiły bauera. Zapadła decyzja, abyśmy całą rodziną poszli do gminy do komendanta policji i sami zameldowali o zajściu pierwsi, przed bauerem. Mieliśmy sami naświetlić sprawę w taki sposób, aby przekonać komendanta, że to ojciec został napadnięty przez bauera, że ja byłem bity. Nie wspominając oczywiście ani słowem o tym, że ojciec trzymał w ręku nóż. Tak też uczyniliśmy. Pośpiesznie ubraliśmy się i pieszo poszliśmy około 7 kilometrów do gminy w Ruden. Ja szedłem pieszo, siostrę rodzice nieśli na rękach, zmieniając się co jakiś czas. Udaliśmy się do urzędu zajmującego się sprawami zatrudnionych obcokrajowców i tu ojciec przedstawił przebieg zajścia urzędnikowi, a my wszyscy cały czas płakaliśmy. Skarzyliśmy się, że ciągle jesteśmy maltretowani, bici i szykanowani, mimo że solidnie pracujemy, nie tylko dorośli, ale i dziecko. Widocznie ten nasz płacz i opowiedziane przez ojca zajście skruszyło nieco serce urzędnika, bo oświadczył, że od dziś nie będziemy już robotnikami Latschena i możemy sobie zmienić bauera. Podając nam adres innego, kazał wracać do domu i czekać, aż tamten drugi po nas przyjedzie. Do chwili przyjazdu nowego bauera pracowaliśmy każdy na swoim stanowisku, ja oczywiście przy owcach i jałówkach.

Pewnego dnia zawiadomiono nas z Arbeitsamtu przez telefon, że mamy się stawić do gminy, bo wyjeżdżamy do nowego gospodarza. Trzeba szczerze powiedzieć, że zrobiło nam się jakoś przykro, bo zżyliśmy się ze wszystkimi, a teraz mamy jechać znów w nieznane, między obcych ludzi. Zresztą wszystkie rozstania są przykre. Po gospodarzach też można było poznać, że szkoda im nas było. Mieli dwoje dorosłych, w pełni sił robotników i dwoje następców, w tej chwili jeszcze dzieci, ale za kilka lat pełnowartościową siłę roboczą.

Należy szczególnie zaakcentować, że nikt nic nie mówił, nikt nie wspominał o przykrym zajściu – ani gospodarze, ani robotnicy, ani my. Stało się i przepadło, teraz trzeba ponieść konsekwencje. Nie było odwrotu od decyzji urzędu, chociaż przyznam, że rodzice w duchu trochę żalowali, że muszą stąd odejść, bo jeść się tu nie chciało, a robić wszędzie trzeba. Często u innych bauerów jedzenie było wydzielane i to w skromnych ilościach, mieszkać nie było gdzie. A tu mieszkanie mieliśmy jak na warunki niewolnicze wystarczające. Gospodyni trochę skąpa, ale w sumie niezła, praca przy koniach nie nazbyt ciężka. Było bardzo dużo wyjazdów, a jak się jedzie, to się nie pracuje. Lecz cóż, inaczej nie mogliśmy postąpić, trzeba było zastosować się do decyzji urzędu.

Do gminy dowieziono nas furmanką. Tam już czekał nowy bauer. Po dopełnieniu urzędowych formalności w Arbeitsamcie załadowaliśmy się na furmankę i ruszaliśmy w nieznane. Podróż trwała bardzo długo. Jechaliśmy wśród bardzo wysokich gór, często nad głębokimi przepaściami. Ciarki przechodziły po plecach na myśl, co by się stało, gdyby koń zbczył nieco z drogi. Ale on doskonale sobie radził. Aż dziwiło nas to, że taki wyćwiczony, że wie, co grozi wszystkim w razie jego nieuwagi.

Z duszą na ramieniu, późną nocą dotarliśmy do celu. Nic jednak nie mogliśmy zobaczyć, ani zorientować się w terenie z powodu ciemności. Dopiero rano miał pokazać, co to za miejsce, co to za gospodarstwo.

Już w czasie podróży dowiedzieliśmy się, że jest to małe gospodarstwo. Jest jeden koń, kilka krów, kilka świń i niedużo ziemi. Pewna otucha wstąpiła w nasze serca, a i gospodarz wydał się nam dobrym człowiekiem. W obszernej jadalni zjedliśmy kolację i położyliśmy się spać na posłaniu przygotowanym nam na podłodze. Pomimo zmęczenia daleką drogą i nadmiaru wrażeń sen nie nadchodził. Długo leżeliśmy na posłaniu i dyskutowaliśmy o naszym dalszym losie. Wreszcie nie wiadomo kiedy zasnęliśmy.

Bardzo wcześniej rano zostaliśmy obudzeni przez krzątającą się gospodynię. Byliśmy zmęczeni i niewyspani. Śniadanie zjedliśmy wszyscy razem – gospodarze i my. Bardzo nam się to podobało. Wyglądało to tak rodzinnie, po przyjacielsku. Nie czuło się dystansu między gospodarzami a niewolnikami. Odnoszono się do nas życzliwie i serdecznie. Wyczuwało się, że są z nas zadowoleni, że będzie nam tu dobrze. Szkopuł w tym, że ani ja, ani siostra nie jedliśmy wczorajszej kolacji, ani dzisiejszego śniadania. Był to gotowany czarny, okrągły groch, pływający w roztopionym tłuszczu. To danie jadło się łyżkami jak zupę z grochem. Nic innego nie dawano – ani chleba, ani kawy, ani żadnej zupy, ani ziemniaków, tylko wciąż to samo danie. Od razu zorientowaliśmy się, że coś tu jest nie tak, że wykiwano nas w tym Arbeitsamcie. W dalszej rozmowie dowiedzieliśmy się, że nie ma dla nas żadnego mieszkania, że na razie zakwaterowani zostaniemy w oborze – pomieszczeniu, gdzie są różne rzeczy: uprzęż, pasza dla bydła i trzody, jeszcze jakieś inne graty. To wszystko się wysprząta, wybieli i na razie tu zamieszkamy. Z czasem w domu na strychu wyremontuje się dla nas pokoik. Spotkał nas ogromny zawód. Rodzina z małymi dziećmi ma zamieszkać w oborze, razem z bydlęm, trzodą i kurami (bo kury

też nie miały oddzielnego kurnika, a siedziały na grzędach w oborze). Ogromnie nas to zmartwiło. A przy tym jeszcze to jedzenie! U poprzedniego gospodarza było dobre, treściwe, czysto i schludnie przyrządzone i podane pięć razy dziennie, bez wydzielania, a ponadto moszczu ile kto chciał. Tu zaś chleb był wydzielany, odpowiednia porcja dla każdego na całą dobę, no i do obrzydzenia stale ten czarny groch z roztopionym tłuszczem. Zaczęliśmy z siostrą płakać, nie mogąc tego jeść, a i rodzicom to jadło nie szło w smak. Ale musieli jeść, bo nic innego nie było, a chodzili do roboty, więc musieli mieć siłę.

Wpadliśmy z deszczu pod rynnę. Mieszkania nie ma – sypiamy w oborze razem z inwentarzem. Wyżywienie bardzo złe, bez porównania gorsze niż w poprzednim miejscu. Rodzice w rozmowie z gospodarzem dowiedzieli się, że u nich tak sieje całe życie. Tak jest przyjęte. Innych potraw po prostu nie gotują, tym żyją i to tylko umieją gotować. Rano bardzo wczesne wstawanie, praca do ciemnej nocy w polu, potem jeszcze obrządek w oborze. Elektryczności nie ma, świeci się lampami naftowymi. Warunki jak w średniowieczu. Zrozumieliśmy, że Arbeitsamt celowo nas tu przydzielił. Chcieliście dobrego gospodarza, no to macie. Nie pije, nie awanturuje się, nie bije, jest dobry i życzliwy dla was, więc wszystko załatwione po waszej myśli z istic niemiecką pedanterią. Nie macie podstaw do narzekań i do interwencji. A to, że nie ma mieszkania? Miliony niemieckich żołnierzy walczących na froncie też go nie ma. Mieszkają w okopach na deszczu, śniegu i w upałach. Są narażeni na śmierć. Wy natomiast mieszkacie bezpiecznie i nic wam nie grozi. A że w oborze razem z bydłem? Za to jest wam ciepło, nie marzniecie. Wyżywienie złe? A co byście chcieli? Kielbasy i szynki? Jaj i maselka? Miliony niemieckich żołnierzy walczy na froncie i bardzo często głodują, a do tego... I tak dalej. Nie było żadnych podstaw, by spodziewać się jakiejś zmiany na lepsze, ani liczyć na powrót w poprzednie miejsce. Z władzą niemiecką nie można się bawić w kotka i myszkę, jest wojna, a wy jesteście niewolnikami. Nie macie żadnych praw, nie możecie się odwoływać do nikogo, takie jest prawo wojny. Setki tysięcy ludzi wegetuje w różnych obozach koncentracyjnych, giną i umierają jak muchy z głodu i wycieńczenia, z ciężkiej pracy i od tortur, a wy jedzenia macie pod dostatkiem, więc czego jeszcze chcecie? Możemy was skierować do któregoś z obozów. Taką reprimendę wyrecytował nam oficer niemiecki w Arbeitsamcie, gdy po paru miesiącach rodzice skarżyli się na złe warunki mieszkaniowe i wyżywienie.

Poznaliśmy smak obozowego życia w Zamościu, wiedzieliśmy czym to pachnie: Należało zacisnąć zęby i cierpieć, starać się przeżyć jakoś tę wojnę. I tak też zrobiliśmy po wykładzie zrobionym nam przez niemieckiego oficera. Od tej pory zaczęliśmy jeść czarny groch z roztopionym tłuszczem i znosić towarzystwo zwierząt w mieszkaniu. Ojciec czasami sam, a czasami razem z gospodarzem wyjeżdżał w pole do pracy, która odbywała się zupełnie inaczej niż u poprzedniego bauera: powoli, bez pośpiechu, bez poganiania. Kiedy koń się spocił, przerywano pracę. Siadali obaj na wozie, gospodarz wyjmował z kieszeni suchy chleb, niczym nie smarowany, łamał kawałek sobie, kawałek ojcu i opowiadał swoje przeżycia z pierwszej wojny światowej. Brał w niej udział na rosyjskim froncie. Opowieść była interesująca i bardzo długa. Często przegadali tak pół dnia i mało co zrobili, ale odrobili to innym razem. Gospodarz był dobrym człowiekiem. Znał biedę, bo sam przebywał kiedyś w niewoli i teraz współczuł innym.

Niepostrzeżenie i nieubłagane zbliżały się dotkliwe chłody, a przebywaliśmy przecież w Alpach. Było więc o wiele zimniej niż na terenach nizinnych. Noce jesienne były bardzo chłodne, więc wyobrażaliśmy sobie, co będzie w zimie. Przeniesiono nas, dzieci z mamą, do obszernej kuchni. Ojciec został w stajni. Spaliśmy na podłodze na słomie. Pod podłogą była piwnica, zionęło więc zimnem z dołu. Poprzeźbialiśmy się z siostrą i zaczęliśmy chorować. Lekarza tu w górach nie było. Do najbliższej miejscowości, gdzie przyjmował, było około 15 kilometrów, leczono nas więc sposobem domowym. Gospodarz miał nawet dobre chęci. Chciał wykończyć pomieszczenie na strychu, ale nie mógł otrzymać żadnych materiałów – nie miał przydziału. Wreszcie oznajmił, że jeśli chcemy, możemy odejść, on nie stawia żadnych przeszkód. Rodzice przewidując, co czeka nas zimą (a zimy były w górach srogie), postanowili znów udać się do Arbeitsamtu, by przedstawić sytuację i pokornie prosić o zmianę gospodarza. Urzędnik już nie udzielał im następnej lekcji (wiedział bowiem, jakie tam były warunki mieszkaniowe dla rodziny z małymi dziećmi), tylko spojrzął ponuro spode łba i dał im adres następnego gospodarza. Powiedział, że za trzy dni należy dać mu odpowiedź. Schowawszy karteczkę do kieszeni, rodzice wyruszyli w drogę w poszukiwaniu nowego gospodarza. Po drodze pytali ludzi, jak można tam dojść. Ludzie tłumaczyli im, a jednocześnie zapytywali, w jakim celu tam idą. Ojciec odpowiadał, że zostali przydzieleni do pracy, na co tamci chwyтали się za głowę, mówiąc: „Wy tam nie będziecie”. Rodzice nie mogli zrozumieć dlaczego. Szli jednak wytrwale coraz wyżej, wspinając się i pokonując coraz bardziej niedostępne przejścia. Stopniowo zaczęli rozumieć, co ci ludzie mieli na myśli. Nabierali przekonania, że tu też nie mogą zostać. Świat tu zabity deskami, gospodarstwo znajduje się bardzo wysoko w górach, samotnie, zdane samo na siebie, samowystarczalne, bez żadnych możliwości kupna podstawowych artykułów, takich jak sól, cukier, nafta (bo elektryczności tam nie było).

Było już dobrze po południu, kiedy dotarli do celu. Oczom ich ukazał się niecodzienny widok. Stara, pochylona, wałająca się drewniana chałupa, obok niej studnia z przegniłym żurawiem, wyżej pasła się przypięta na powrozie świnia, szukając czegoś w ziemi. Opoдал jedna krowa, również przypięta na powrozie, skubała wyschniętą, pożółkłą trawę. Taka była chuda, że aż strach patrzeć. Chociaż dopiero minęło lato, miała już zimową sierść. Już teraz rodzice dokładnie rozumieli, dlaczego nie jest to miejsce dla nas. Przed domem na koślawym stołku siedział jakiś dziad – stary, siwy, zarośnięty, obdarty. Ciało jego pokryte było gęsto wrzodami, które niczym nie oparzone, jątrzyły się. Gdy patrzyło się na tego człowieka, zbierało się na wymioty. Rodzice podeszli do niego i zapytali, czy tu mieszka gospodarz o nazwisku Rasa. Usłyszeli odpowiedź, że tak, że to właśnie on. Zapytał, w jakiej sprawie przychodzi. Odpowiedzieli, że zostali przydzieleni tu do pracy. Bardzo się ucieszył. Oczy mu zabłyśły. Wstał z koślawego stołka i zapraszając ich do środka do chałupy, pokuśtykał naprzód. Kiedy weszli do środka, ukazał się obraz nędzy i rozpacz. Gospodyni przypominała postać Baby Jagi z bajki. Stara, wychudła, rozczochrana, brudna, ubrana jak wiedźma. Mama na jej widok tak się przestraszyła, że nie mogła wydobyć z siebie słowa. Wnętrze domu przedstawiało się także nędznie. Kuchnia wałająca się, wymurowana z kamienia, na niej kilka okopconych baniaków, jakiś drewniany cebrzyk. Obok stare, brudne wiadro z pomyjami, dalej dwa zbite z desek wyrka, na których leżała starta słoma, jakiś stołek i ława służąca jednocześnie za stół.

Gospodarz zwrócił się do żony, przedstawiając moich rodziców, jako robotników przybyłych do pracy. Poprosił, żeby usiedli i nalał im moszczu z brudnego garnka, który napełnił z beczki leżącej pod kurzą grzędą. Wszystkie odchody spadały właśnie do beczki z moszczem i tworzyły grubą warstwę. Rodzice trzymając się rękami za usta, aby nie zwymiotować, podziękowali skwapliwie za poczęstunek i udali się na podwórze na świeże powietrze. Oświadczyli, że się namyślą i dadzą odpowiedź w ciągu tygodnia. Nie oglądając się za siebie, szybkim krokiem oddalili się z podwórka. Tym bardziej, że była późna jesień i należało się śpieszyć, by za dnia wrócić do domu. Obrazek tych ludzi i tego gospodarstwa pozostał im w pamięci na długie lata. Mieli teraz bardzo trudny orzech do zgryzienia. Jeżeli odmówią pracy u tych gospodarzy, czeka ich tylko obóz. Wiedzieli o tym, czuli to przez skórę. Zresztą było to zupełnie zrozumiałe. Nie można odrzucać kolejnej propozycji. Nikt nie będzie się tu z nimi cackał. Czarna rozpacz zapanowała w rodzinie. Zostalibyśmy najchętniej tu, gdzie dotąd. Ostatecznie nie było tu tak źle, gospodarze dobrzy ludzie, nie pozwoliliby zamarznąć. Ale jak to teraz powiedzieć urzędnikowi, skoro wcześniej zgłosiło się wniosek o zmianę gospodarza i miejsca pracy? Co teraz począć? Jak postąpić?

Rodzice zrozumieli, że na tym polega niemiecka chytryść i podstęp. Przydziela się ich do coraz gorszych miejsc, wiedząc o tym z góry, że nie będą mogli tam być – tym bardziej z małymi dziećmi. U Vala (naszego pierwszego gospodarza) jest gospodarstwo duże, wysokotowarowe, dające państwu dużą produkcję i to właśnie tu są potrzebni robotnicy, a nie tam u jakiegoś Jączki czy Rasy. Tym bardziej, że Val jest człowiekiem zasłużonym, należy do partii hitlerowskiej, jest szefem oddziału samoobrony. Pracuje dla wojny, dla Rzeszy, odstawia duże ilości mięsa i zboża. Jego dwóch synów walczy w armii niemieckiej, dlatego należą mu się robotnicy. To, że czasami lubi sobie wypić, że się potem awanturuje, to nie jest jeszcze przestępstwo. Co z tego, że poturbował jakieś tam polskie dziecko. Tysiące polskich dzieci jest bitych, zabijanych, przebywa w obozach koncentracyjnych, głoduje i wszy je jedzą, palone są w piecach krematoryjnych. Setki i tysiące giną w zamkniętych, nie ogrzewanych wagonach towarowych, z zimna, z głodu, z wycieńczenia. Kto będzie się rozczulał nad losem dwojga polskich dzieci? Komu na tym zależy? Führerowi na pewno nie. Taka była prawda i z tym należało się liczyć.

Groza tej sytuacji uwidoczniła się jaskrawo, gdy należało pójść do Arbeitsamtu i powiedzieć, że nie zgadzają się na kolejną propozycję, że warunki są tam nie do przyjęcia. Poszliśmy więc wszyscy do urzędu spodziewając się najgorszego, nawet rozstrzelania nas wszystkich włącznie z dziećmi, za niesubordynację wobec Wielkiej Rzeszy. Wszystkie narody Europy pracują na rzecz wojny, oddały do dyspozycji swój przemysł, swój potencjał gospodarczy, a tu jedna polska rodzina sabotuje pracę, uskarżając się, że jest źle traktowana. Byliśmy przygotowani na najgorsze. Na szczęście urzędnik był wyjątkowo dobrym człowiekiem, a może nie był przesiąknięty duchem nacjonalizmu. Wysłuchał wszystkiego, co ojciec mu opowiedział o sytuacji, jaką zastał u gospodarza nazwiskiem Rasa (urzędnik dobrze znał to gospodarstwo). Powiedział, żeby wracać do tego gospodarza, u którego obecnie pracujemy, a on zdecyduje, co z nami zrobić.

Czekaliśmy w niepewności kilka dni. Nie wiedzieliśmy, co się z nami stanie. Kładąc się spać, nie wiedzieliśmy, co przyniesie jutrzejszy dzień. Czekanie na coś niewiadomego jest wielką męką, żeby nie powiedzieć udręką. Czas włókł się w nieskończoność, wydawał się wiecznością, gnębiąc nasze serca. Pewnego dnia przyjechała po nas furmanka zaprzęzona w znajome nam konie, powożona przez znajomego woźnicę. Był to Francuz pracujący u naszego dawnego bauera Vala. Zdumienie nasze przeszło wszelkie granice. Kamień spadł nam z serca, znaczyło to bowiem, że wracamy do Vala. Woleliśmy powrócić na poprzednie miejsce, niż iść gdzieś w nieznanne, albo też do takich warunków, jak u Rasy.

Francuz zobaczywszy nas bardzo się zdziwił i jednocześnie ucieszył. Witał się z nami serdecznie, śmiejąc się przy tym głośno i długo, co wprawilo nas w zakłopotanie. Dlaczego tak się śmieje? Co to ma znaczyć? Wciąż się śmiał, aż się zachodził od śmiechu. Kiedy skończył, to wyjaśnił, że gospodarze nie wiedzą kogo dostaną. Nie powiedziano im, że to my wracamy. Będzie to dla nich wielkim zaskoczeniem.

Załadowaliśmy swoje toboły na furmankę, pożegnaliśmy się z gospodarzami i odjechaliśmy w drogę powrotną do Vala. Czas szybko minął na rozmowie i oto znaleźliśmy się na znajomym podwórku w wiosce Untermitteldorf. Gospodarze wyszli na spotkanie nowych robotników. Jakaż była ich mina, jakież zdziwienie, gdy zobaczyli znajome twarze. Ogromnie się ucieszyli. Śmialiśmy się wszyscy z tej komicznej sytuacji, ale w końcu wszyscy byliśmy zadowoleni, że tak się skończyło. Gospodarz szybkim krokiem podszedł do furmanki i zdjął nas na ziemię, co mu się przedtem nigdy nie zdarzało. Gospodyni witała się z rodzicami. Zniesiono nasze toboły do dawnego „naszego” mieszkania. Było posprzątane, wymyte, na łózkach bieląca czysta pościel, na stole stał flakon z kwiatami. Poczuliśmy się, jakbyśmy wrócili do swojego własnego, rodzinnego domu. Wszyscy nas serdecznie i szczerze witali. Gospodyni osobiście przyniosła zaraz kolację do naszego mieszkania, bauer przyniósł moszczu i klepiąc się po łydkach, jak to było w jego stylu, cieszył się z naszego powrotu.

Nazajutrz wszystko wróciło do starego porządku. Każdy otrzymał te same czynności, jakie miał poprzednio. Tak pracowaliśmy aż do końca wojny.

Pewnego dnia spadł pierwszy śnieg i zima zagościła na dobre. Dzieci z naszej wioski z wielkim utęsknieniem oczekiwały jej przyjścia. Tęskniły bowiem do sportów zimowych, do zjazdów na sankach i nartach. Trzeba przyznać, że tereny do uprawiania sportów zimowych były tu doskonałe. Górek i wysokich gór nie brakowało.

I ja bardzo ucieszyłem się nadejściem zimy. Otrzymałem od gospodyni stare sanki pozostałe po jej synach i zacząłem używać frajdy wraz z innymi dziećmi ze wsi. Miałem też kilku kolegów, którzy się ze mną chętnie bawili. Czułem się dobrze w ich towarzystwie. Choć nie znałem dobrze ich języka, to jakoś się rozumieliśmy i dogadywaliśmy. W trakcie tych zabaw dość szybko uczyłem się niemieckiego. Po pewnym czasie już dość dobrze rozmawiałem w tym języku.

Zbliżały się Święta Bożego Narodzenia 1944 roku. Drugie Święta w obcym kraju, wśród obcych ludzi, z dala od bliskich i znajomych. Czyniono gorączkowe przygotowania, myto i sprzątano w domu, gospodyni piekła świąteczne ciasta. Nie wiedzieliśmy jednak, czy będziemy jeść te smakołyki.

Nadszedł dzień wigilijny. Po dokonaniu obrządku, każdy na swoim stanowisku pracy, umyliśmy się i przebraliśmy w świąteczne ubrania, aby zasiąść do wigilijnej kolacji. Myśleliśmy, że będzie wyglądała jak u nas: wiele potraw, z dzieleniem się opłatkiem i składaniem życzeń. Okazało się jednak, że tu są inne zwyczaje, inne formy obrządku świątecznego. Kolacja była zwykła jak codziennie, bez wspaniałych wigilijnych potraw, bez opłatka, bez składania sobie życzeń oraz bez prezentów pod choinką. Nie było też choinki. Życzenia składano sobie dopiero po kolacji w swoich mieszkaniach. A były to jedyne życzenia: aby jak najszybciej nastął koniec wojny i powrót do swoich krajów i rodzinnych stron. Otrzymaliśmy jednak dodatkowo pewną ilość kiełbasy i boczku na święta. Był to wyjątkowy luksus, jak na warunki wojenne i ze względu na fakt, że byliśmy przecież w niewoli.

Na posiłki chodziliśmy jak zwykle do stołówki, gdzie stołowali się wszyscy robotnicy pracujący u naszego gospodarza: dwoje Ukraińców, jedna Polka, kilku Francuzów, no i my. W święta oprócz codziennych obrządków przy inwentarzu nic innego nie robiliśmy. Chodziliśmy do kościoła na nabożeństwa i odpoczywaliśmy, ze wzruszeniem wspominając, jak to było w domu w święta i zastanawiając się, czy to się jeszcze kiedyś wróci czy też do końca życia będziemy niewolnikami. Rozmawialiśmy o swoich bliskich z rodziny, jak oni tam żyją, o dziadku i babce, o ciotce i jej dziecku. Wiedzieliśmy, że prowiant mieli wydzielany, głód im zaglądał w oczy. Wysyłaliśmy im od czasu do czasu paczki żywnościowe, kryjąc się z tym przed gospodarzami. Groziło nam to bowiem również ograniczeniem wyżywienia.

Zima była okresem mniej natężonych prac. Obok codziennych zajęć przy obrządkach wykonywało się inne – wynikające z charakteru gospodarstwa. Kobiety ręczną piłą rznąły drzewo na opał, odśnieżały drogi i ścieżki na podwórku, łuszczyły kukurydzę. Ojciec i Ukrainiec Aleksy jeździli końmi do lasu, ściągali z gór drzewo i wozili je do tartaku. Było to główne zajęcie zimową porą. Ojciec często z racji, że obsługiwał konie, jeździł do miasta, wożąc tam moszcz, a przywożąc inne towary do „gasthausu”. Trzeba tu również nadmienić, że w naszym gospodarstwie był „gasthaus” jako dodatkowe źródło dochodu. Dni w zimie są jednak krótkie, a wieczory długie, był więc czas na urozmaicenie monotonii życia w niewoli. Z uwagi na fakt, że byliśmy jedyną polską rodziną w tej miejscowości (większość robotników stanowiły osoby samotne), staliśmy się ośrodkiem, do którego schodzili się młodzi robotnicy – dziewczęta i chłopcy, aby porozmawiać o naszych polskich sprawach, pogawędzić, wspominać dawne, dobre czasy. Także pocieszyć się dobrymi wiadomościami z frontu, których było coraz więcej, pośpiewać nasze piosenki, dodać otuchy sobie i innym na przetrwanie tych ciężkich czasów. Chłopcy na ustnych harmonijkach grali smętne piosenki i rzewne melodie, aż nieraz ścisnęło w dołku

i łaza wypłynęła z oka co bardziej uczuciowym. Z bufetu „gasthausu” przynosili więc kufle piwa i moszczu, pijąc ze smakiem. Często walczyli też dziewczęta i moi rodzice, a także naszych Ukraińców, którzy również przychodzili do nas, aby się trochę rozerwać i rozweselić po pracy. Też byli w niewoli i tak samo pracowali jak Polacy. Kiedy opowiadano o tym, co się dzieje w Polsce, jak Ukraińcy mordują Polaków, jakie stosują przy tym tortury, to nie chcieli w to uwierzyć. Mówili, że to nieprawda, że to niemożliwe, że to tylko propaganda, podjudzanie jednych na drugich. My jednak otrzymaliśmy listy z Polski i wiedzieliśmy, co się dzieje. Nie dość, że Niemcy mordują, wysiedlają, pacyfikują całe wsie i rejony naszego kraju, to jeszcze Ukraińcy im pomagają. Było to dla nas straszne. Często rodzice mówili, że może i dobrze się stało, że nas wywieźli, to może jakoś przeżyjemy wojnę.

W niedalekiej odległości od nas płynęła rzeka Drawa, wielkością dorównująca mniej więcej Sanowi, a może Bugowi, trudno dokładnie określić. Zresztą nie jest to takie istotne, w każdym bądź razie była to duża rzeka. Po jej drugiej stronie był zupełnie inny kraj – opanowany przez jugosłowiańską partyzantkę zwaną titowcami (od nazwiska ich przywódcy). Rozpościerały się tam pasma wysokich gór, a jedna z nich – najwyższa – prawie naga, nosiła nazwę Peca. Tak nazywali ją miejscowi ludzie. Na jej szczytach leżał śnieg nawet w najbardziej upalne lato. Nigdy nie ginał, widać go było z bardzo dużej odległości. Dlaczego o tym wspominam? Otóż dlatego, że góra ta była bazą jugosłowiańskiej partyzantki. W jej wnętrzu, w głębokich pieczarach i jaskiniach, znajdowali schronienie miejscowi partyzanci. Była ona dla nich domem i schronieniem, miejscem nie do zdobycia dla wroga. Wielokrotnie niemieckie związki taktyczne przeprowadzały akcje zbrojne, używając lotnictwa bombowego i piechoty, aby zlikwidować tę bazę, ale nigdy im się to nie udało. Należy jednak stwierdzić, że uzbrojenie partyzantów było doskonałe, nawet w broń ciężką, artylerię i lotnictwo myśliwskie. Ich akcje sabotażowe były bardzo dotkliwe dla Niemców – niszczyły i dezorganizowały najcenniejszy punkt maszyny wojennej, jakim jest transport i łączność. Wysadzały w powietrze pociągi, niszczyły mosty i wiadukty, linie telefoniczne, atakowały kolumny samochodowe. Pod koniec wojny, kiedy armia niemiecka była już słaba, dochodziło do tego, że nawet pojedynczy samochód nie mógł poruszać się po drodze. Atakowano nawet pracujących w polu. Były to akcje bardzo dotkliwe dla wroga. Przyczyniały się one do osłabienia zdolności bojowej armii niemieckiej oraz do szybszego zwycięstwa nad faszyzmem. Główną bazą zaopatrującą ich w żywność były okoliczne wioski i większe majątki obszarne.

Pamiętam pewnego zimowego dnia przed obiadem zajechała na nasze podwórce furmanka z kilkoma uzbrojonymi w broń maszynową partyzantami, którzy natychmiast zagrozili gospodarzom rozstrzelaniem, jeżeli ci chcieliby powiadomić posterunek żandarmerii. Najpierw zniszczyli telefon, następnie zamknęli gospodarzy w pokoju. Zabrali gospodarzowi broń i amunicję, a potem już zupełnie bezpiecznie i swobodnie, bez pośpiechu przystąpili do świniojebstwa. Zabili dwie największe świnie, obrzadzili je, załadowali na furmankę i spokojnie odjechali. Nikt nie śmiał nawet kiwnąć przysłowiowym palcem. Czuli się bardzo pewnie i bezpiecznie. Rozmawiali z robotnikami i mówili, że to już niedługo, że wojna wkrótce się skończy. Niemcy na wszystkich frontach ponoszą dotkliwe klęski. Gospodarzom pokiwali, że mają nas dobrze traktować, bo jeśli nie, to z nimi koniec. Sytuacja nasza polepszyła się. Bauer mniej pił, mniej krzyczał i mniej gonił do roboty.

Pewnego dnia w domu zapanowała wielka radość. Z frontu wrócił po leczeniu szpitalnym starszy syn gospodarzy – kapitan armii niemieckiej imieniem Volty. Matka i żona nie odstępowały go na krok, wszędzie mu towarzyszyły, ciągle mu asystowały. Również ojciec był bardzo zadowolony i dumny, że ma syna tak wysokiego rangą. Ten z kolei opowiadał swoje przeżycia wojenne, których oni słuchali z zapartym tchem i z wielką obawą o swoją przyszłość. Co nieco z tych opowiadań przedostało się do nas. Byliśmy bardzo zadowoleni, że wielka niemiecka machina wojenna chyli się ku upadkowi.

Dni na urlopie płyną szybko, czas wypoczynku się skończył i trzeba było wracać na front, do swojej jednostki. Jakiż był smutek i żal, że znów trzeba się pożegnać, trzeba się rozstać i wracać na wojnę, z której nie wiadomo, czy się wróci. I już nie wrócił. Po pewnym czasie nadeszła wiadomość – depesza, że syn zginął śmiercią bohatera za Wielką Rzeszę. W domu zapanowała żałoba. Matka jak zwykle najboleśniej przeżyła tę tragedię. Synowa uznała, że nie ma już tu nic do roboty i wyjechała. Matce pozostały ból i rozpacz. Przez kilka dni w ogóle nie wychodziła z domu. Nie było jej widać. Nie przyrządzała posiłków, do nikogo nic nie mówiła, stała się jakby zahipnotyzowana. Patrzyła, ale nie widziała, oczy jej były smętne, zamglone, a twarz nie do poznania. Wychudła, szerniała, na głowie przybyło jej dużo siwych włosów. Bauer też boleśnie przeżył tę śmierć. Zmienił się o 180 stopni. Prawie nie zależało mu na tym, czy robotnicy coś robią, czy nie. Nie interesował się już gospodarką. Robotnicy sami wiedzieli, co mają robić i to robili. Posiłki przygotowywała Polka Paulina z Ukrainką Michaliną.

Czas goi rany. Powoli więc wszystko wracało do normy. Pamiętam, że w tym czasie listonosz przynosił bardzo dużo takich depesz o śmierci synów, ojców i braci. Gdy do czyjegoś domu kierował swe kroki, serce podchodziło im do gardła, w głowie powstawał mętlik, ciało przeszywał strach, że już na pewno stało się coś złego, że już ktoś z najbliższych zginął „śmiercią bohatera”. W wojsku człowiek ten mógł być największym zbrodniarzem, wyrefinowanym mordercą, sadystą, który potrafił zadawać najbardziej wymyślne tortury. W oczach swojej rodziny był jednak tylko żołnierzem, który oddał życie za Ojczyznę.

Każdemu swojego żal. Każdy wydawał się dobrym, szlachetnym, prawym człowiekiem, a w rzeczywistości to wiemy, jacy byli ci „chłopcy” z Gestapo, z SS i z Wehrmachtu.

Listonosz był zwiastunem czegoś złego, czegoś nieodwracalnego. Rzadko kiedy przynosił radosne nowiny. Dzwony kościelne po kilka razy dziennie dzwoniły na wieżach. Odprawiały się msze żałobne po poległych, zaginionych. Ludzie byli smutni, przygnębieni. Nie widziało się na ich obliczach pogody i uśmiechu. Kobiety i dzieci miały twarze zapłakane, smutne i szerniałe. Snuły się drogą do kościoła i z powrotem. Był to widok z jednej strony radosny dla nas, że giną nasi wrogowie i ciemężyciele, że jest ich coraz mniej. Z drugiej jednak żal było rodzin, które przeżywały śmierć najbliższych. Często im nawet w duszy współczuliśmy, rozumieliśmy ich ból i rozpacz. Ale gdy brał górę rozsądek, czuło się zadowolenie, że znów kilku szkopów mniej. Nie mogliśmy jednak tego po sobie pokazać, byłoby to nietaktowne, a nawet mogłoby narazić nas na jakieś szykany. Udawaliśmy więc współczucie.

Do utrzymania porządku i zapewnienia bezpieczeństwa wioski została zorganizowana grupa samoobrony Landwehr, składająca się z mężczyzn, którzy nie kwalifikowali się do wojska. Byli albo za starzy, albo za młodzi, albo po prostu ze względu na stan zdrowia niezdolni do służby. Komendantem tej grupy był nasz bauer. Wszyscy członkowie tej paramilitarnej organizacji byli uzbrojeni przeważnie w karabiny ręczne, granaty i inną lżejszą broń. Mieli wspomagać oddział policji kwaterujący we wsi, w budynku miejscowej szkoły. Jak już wspomniałem wcześniej, na naszym terenie panoszyła się partyzantka titowska. Właśnie przeciwko działaniom tej partyzantki powołana została ta grupa samoobrony. Miała ona za zadanie strzec obiektów we wsi i ważniejszych szlaków komunikacyjnych, jak też chronić miejscową ludność przed napadami partyzantów. Na noc członkowie grupy w obawie przed rozbrojeniem schodzili się do budynku szkoły, który był ufortyfikowany zasiekami z drutu kolczastego i workami z piskiem. Jednym z jej członków był młody chłopak, liczący zaledwie 16 lat, prawie dziecko. Przychodził na noc do szkoły z karabinem. Jak się później okazało, był „wtyczką” partyzantów. Przekazywał im informacje o stanie osobowym oddziału samoobrony, uzbrojeniu, o planowanych akcjach. Jemu to właśnie partyzanci postawili zadanie zlikwidowania oddziału – jeżeli nie całkowitego, to przynajmniej częściowego. Pewnej nocy został przez nich wyposażony w trzy granaty ręczne, które ukrył na zewnątrz budynku. Sam przebywał w środku razem z załogą placówki. Kiedy wypadła na niego kolej pełnienia warty przed budynkiem, wyjął z ukrycia przygotowane wcześniej granaty i schował w kieszeniach. W pewnej chwili zaczął strzelać z karabinu w górę, by zaalarmować załogę. Kiedy po usłyszeniu strzałów członkowie samoobrony zbiegli na dół, chłopak zaczął krzyżeć, że partyzanci atakują placówkę. Gdy cała załoga skupiła się w wąskich drzwiach, szurnął w nich wszystkie schowane w kieszeniach granaty. Narobił oczywiście bigosu. Kilku ludzi zginęło na miejscu, kilkunastu zostało ciężko lub lżej rannych. Chłopak dalej strzelał i krzychał, niby to goniąc partyzantów w kierunku lasu. Żaden partyzant jednak nie zginął ani nie został ranny. Akcja się udała. Długo w nocy jeździły karetki pogotowia, wożąc rannych do szpitala w Volkemark. Zabitych poznoszono do piwnicy, posterunki wzmocniono do kilku wartowników. Sensacja była wielka. Zjechało się mnóstwo żandarmerii i policji, przeprowadzono śledztwo, wizję lokalną, szukano śladów partyzantów wokół budynku, ale niczego nie znaleziono, co by wskazywało na ich pobyt. Już wtedy zaczęto podejrzewać, że to był sabotaż. Chłopakowi jednak nic nie udowodniono.

Szkoła w dalszym ciągu była twierdzą nie do zdobycia. Posterunki wzmocniono, szczególnie w nocy. Teren oświetlono. Wydawało się, że nawet mysz się nie prześliznie. Po kilku miesiącach akcja została skopiowana. Znów było kilku zabitych i kilkunastu rannych. Zdarzenie rozegrało się na służbie tego samego chłopaka, więc policja nie miała już żadnych wątpliwości, że to on był sprawcą. Został natychmiast aresztowany i już nigdy nie wrócił.

Pożar w gospodarstwie

Wielka czerwona luna oświetliła całą wioskę. Pożar wybuchł w środku nocy, gdy większość mieszkańców pogrążona była w głębokim śnie. Pierwsi zobaczyli to jeńcy francuscy, których oflag mieścił się właśnie w tym budynku. Wyrwani ze snu i przestraszeni pożarem, wyskakowali w bieliznie przez okna na podwórze, ratując się ucieczką przed spalaniem lub poparzeniem. Budynek płonął wielką żagwią ognia i iskier. Olbrzymie kłęby czarnego dymu unosiły się w powietrzu. Bydło znajdujące się w stajni przeraźliwie ryczało. Nie było komu go ratować. Upłynęło sporo czasu, zanim zbiegli się pierwsi mieszkańcy, rzucając się do wypędzania go z płonącej obory. Nie było to jednak takie łatwe, gdyż bydło, przestraszone, ciągnęło się na uwięzi, utrudniając tym samym spuszczenie z łańcuchów, a następnie nie chciało wyjść z obory na oświetloną luną podwórze. Panował niesamowity zgiełk. Pożaru nikt nie ugasił. Nikt nawet nie starał się tego robić. Nie było możliwości gaszenia, gdyż przy oborze i w gospodarstwie nie było żadnego sprzętu gaśniczego ani wody pod dostatkiem. Ludzie też zbyt nie rwali się do gaszenia. Bydło wypędzono, a reszta płonąła jak smolna żagiew.

Pożar ten, jak się później okazało, był sabotażem ze strony partyzantów titowskich, którzy dokonywali różnych zniszczeń na każdym odcinku niemieckiej gospodarki. Znow wzmocniono nocne warty, wzmożono czujność, ale wszystkie te posunięcia na nic się nie zdały. Partyzanci pojawiali się nagle, niespodziewanie i po wykonaniu akcji natychmiast znikali. Mieli zgoła odmienne warunki niż partyzanci w Polsce. Działali wśród obcego i nieprzyjaznego im narodu, a to był aspekt istotny. Tu musieli się mocno maskować, niepostrzeżenie się pojawiać i niepostrzeżenie zniknąć. Żywność i inne potrzebne artykuły musieli konfiskować. Nikt przyjaźnie im niczego nie dawał, nikt nie ukrył przed żandarmami, nikt nie użyczał noclegu. Tu wszystko załatwiała się przemocą i terrorem.

Po kilku miesiącach partyzanci powtórzyli tę samą robotę. Spalili drugą gospodarzkę naszego bauera. My natomiast, mieszkając w tym samym budynku, tylko na parterze, ledwo uszliśmy z życiem, ratując się ucieczką – podobnie jak poprzednio Francuzi. Dzień ten pozostał mi w pamięci na zawsze, jako że cała nasza rodzina przeżyła wielką tragedię. Pierwszy raz uciekaliśmy z płonącego budynku tylko w bieliźnie i boso.

Bardzo głęboko przeżyłem w Austrii dzień, w którym zachorowała moja siostra. Była wtedy małą dziewczynką i wszyscy dbaliśmy o nią, jak o największy skarb. Była oczkiem w głowie całej rodziny. Gdy zachorowała, zawieziono ją do lekarza i ten jak zwykle przepisał jakieś tabletki, które mama aplikowała jej codziennie. W tym krytycznym dniu mama, będąc jakaś roztargniona, zdenerwowana czy przygnębiona, podała siostrze przez pomyłkę inną tabletkę, która również leżała w szufladzie. Tabletkę ta była przeznaczona do użytku zewnętrznego. Rozpuszczało się w wodzie i robiło okłady. Taką właśnie tabletkę mama podała siostrze. Zorientowała się, że się pomyliła dopiero wtedy, gdy woda w szklance zakwapiła, a dziecko wypilo podane lekarstwo. Natychmiast sprawdzono te tabletki i okazało się, że jednej brak. Była to silna trucizna. Wszyscy popadliśmy w wielką rozpacz. Mama zaczęła histerycznie płakać, krzyczeć z rozpacz, że otruła własne dziecko. Wobec zaistniałej sytuacji nie było innego wyjścia, jak natychmiast zawieźć dziecko do lekarza. Bauer jednak w tym czasie był, oględnie mówiąc, na tzw. rauszu i nie bardzo się zgadzał na udostępnienie koni. A tu każda chwila była na wagę życia. Ojciec zwrócił się z prośbą do gospodyni i synowej. Obie zgodnie zezwoliły na użycie koni i wyjazd do lekarza. Do najbliższego miasta było około 12 kilometrów. Biorąc pod uwagę szybkość, z jaką można było jechać furmanką, należało się liczyć, że podróż zajmie około 1 godziny. Tymczasem spożyty lek mógł już zacząć działać i przedostać się do krwi, co niewątpliwie groziło śmiercią. Ojciec szybko założył konie do wozu. Ulokował nas na furmance i ruszył do lekarza. Podróż ta, mimo iż odbywała się w galopie, wydawała mi się bardzo powolna. Ponaglaliśmy ojca, który i tak nie żałował koniom bata. Pędziliśmy do miasta. Z koni już zaczęła kapać biała piana. Ojciec obawiał się, żeby któryś z nich nie padł po tak szaleńczej jeździe. Wreszcie dojechaliśmy. Szybko wniesiono dziecko do lekarza, wyjaśniając mu, co się stało. Ten natychmiast przystąpił do działania. Zastosował pompowanie żołądka. Siostra wrzeszczała i wyrywała się rodzicom, którzy z trudem ją utrzymywali. Lekarz stwierdził autorytatywnie, że dzięki szybkiemu działaniu dziecko zostało uratowane i będzie żyło. Kamień spadł nam z serca. Kazał podawać do picia zsiadłe mleko i powiedział, że wszystko będzie dobrze.

Z powrotem jechaliśmy noga za nogą, bardzo powoli, oszczędzaliśmy konie, aby mogły wypocząć i ostygnąć. Dobrze, że żaden nie padł w czasie tej szaleńczej jazdy. Byłaby to dopiero bardzo przykra sytuacja, tak dla nas jak i dla bauera, która zezwoliła wziąć konie bez wiedzy bauera. Incydent ten na zawsze pozostał w naszej pamięci i często w rodzinie się o nim wspomina.

Wojna zbliża się ku końcowi

Obserwując sytuację i wzmożony ruch wojsk na drogach, ścisk i tłok, pośpiech z jakim poruszały się długie kolumny taborów i innych pojazdów wojskowych, należało wnioskować, że wojna zbliża się ku końcowi. Armie niemieckie wycofywały się na zachód. Mnóstwo porzuconych wozów bojowych i innego sprzętu leżało w przydrożnych rowach. Broń i amunicja stały się dostępne dla każdego, kto tylko miał chęć to posiąść. Wzmogła się działalność dywersyjna partyzantów. Wyszadzono w powietrze mosty drogowe i kolejowe, wiadukty i tory, zaminowywano drogi i tunele górskie, paralizując ruch, jak też opóźniając pośpieszny odwrót wojska. Gospodarze stali się inni – lepsi, mniej aroganccy, mniej pewni siebie. Pracowało się na zwolnionych obrotach. Mieszkańcy skrzętnie zbierali mienie porzucone w rowach, które mogło przydać się kiedyś w gospodarstwie lub stanowić jakąś wartość, jak np. skórzane siodła, różnego rodzaju pasy, pokrowce po różnej broni i sprzęcie. My biernie przyglądaliśmy się temu wiedząc, że i tak z tego nie będziemy mieli żadnej korzyści, gdyż nie da się tego do domu zawieźć. A ponadto na koniec wojny można się przez to wplątać w nieprzyjemną historię, bo gromadzenie rzeczy wojskowych, szczególnie przez cudzoziemców, było surowo zabronione. Jednak co niektórzy odważniejsi coś tam skrzętnie chowali w swoich gospodarstwach, zakopywali do ziemi. Ja z wieloma innymi kolegami austriackimi też byłem zainteresowany bronią, szczególnie krótką. Zbiera-

liśmy również karabiny. Było wielką frajdą strzelić sobie z prawdziwej broni. Zakopywaliśmy ją w polu w ustalonych miejscach i kiedy mieliśmy możliwość, to strzelaliśmy.

Pewnego razu całą grupą wybraliśmy się w umówione miejsce i tam zaczęliśmy manipulować przy pocisku przeciwpancernym. Któryś z kolegów nacisnął odpowiedni przycisk. Nastąpił wybuch, a wydobywająca się przy tym smuga ognia poparzyła nas wszystkich, wszędzie tam, gdzie było odkryte ciało. Jeden z kolegów doznał szczególnie dotkliwych obrażeń. Został natychmiast odwieziony do szpitala. Ja z tego wypadku wyszedłem najmniej poszkodowany – osmałiło mi się tylko ubranie, a ciała nie miałem poparzonego, bo całe było osłonięte. Od tej pory zaprzestaliśmy zabawy w wojnę. Rodzice dowiedzieli się o naszych zabawach i kategorycznie mi ich zabronili.

Któregoś dnia po śniadaniu wyszliśmy wszyscy na podwórko, bo z oddali dał się słyszeć pomruk samolotów, który z każdą chwilą stawał się coraz głośniejszy. Ludzie odświętnie ubrani – bo była to Niedziela Palmowa – szli do kościoła, niosąc na ramieniu duże wiązki długich gałęzi palmowych. Nic nie zapowiadało czegoś szczególnego. A jednak okazało się, że był to dzień wyjątkowy. Pomruk przerodził się w potężny huk i jęk samolotów. Leciąły eskadry jedna za drugą, szeroką ławą. Niebo pokryło się olbrzymią liczbą maszyn, które błyszczały na niebie, jakby je ktoś wypolerował. Ziemia drżała w posadach. Jeszcze nigdy w życiu nie widziałem tak wielu samolotów. Całe niebo było nimi zasłane. Białe smugi ciągnęły się za nimi, jak długie ogony lub warkocz. Wokół bombowców uwijały się maleńkie jak ptaszki myśliwce, też błyszczące w słońcu jak gwiazdki na niebie w biały dzień.

Nagle w górze, wśród lecących eskadr, rozgorzała strzelanina. Małe, błyszczące gwiazdki latały jak muszki świętojańskie, uganiając się jedna za drugą. Trudno było rozróżnić, które są czyje. Można jednak było się zorientować, że trwa walka. W pewnej chwili od eskadr odłączyły się dwa duże bombowce, ciągnąc za sobą ogon czarnego dymu. Z ich wnętrza, jak gdyby z brzucha, zaczęły wyskakiwać małe punkciki. Kołysały się w powietrzu jak dziecinne baloniki, a samoloty pozostawione same sobie dały nura w kierunku ziemi. Spadły z głuchym łoskotem w górach. Rozległy się potężne detonacje, a przez długi czas unosiły się kłęby czarnego dymu. Maleńkie baloniki kołyszące się w powietrzu stawały się coraz większe. Początkowo wyglądały jak małe dzwonki, potem jak większe dzwonki, aż wreszcie jak potężne dzwony, w których kołaczę się duże, podłużne serce. Byli to spadochroniarze, którzy wyskoczyli z płonących samolotów. Policja i oddział samoobrony wyruszyły w góry szukać skoczków. Prąd powietrza i wiatr znosił ich w różnych kierunkach. Wszyscy obserwowali to z wielkim zainteresowaniem, było w tym coś bardzo widowiskowego.

Tymczasem pozostałe eskadry bombowców majestatycznie, spokojnie poleciały dalej obranym kursem, jakby nie zauważając, co się stało i nie bacząc na swoich kolegów, którzy musieli ratować się na spadochronach. Po upływie jakiegoś czasu dało się słyszeć potężne detonacje. To bombowce zrzuciły swój śmiercionośny ładunek. Z powrotem widocznie leciały innym kursem, bo ponad nami nie wracały.

Po kilku godzinach przyprowadzono do wsi i umieszczono w gasthausie dwóch amerykańskich pilotów, schwytanych w górach. Co stało się z pozostałymi skoczkami, nie wiem. W sumie wyskoczyło ich 18, po dziewięciu z każdej maszyny. Pamiętam, była to przygoda dla wszystkich. Pierwszy raz widziałem spadające płonące samoloty i pierwszy raz zobaczyłem amerykańskich pilotów. Byli to młodzi, dobrze zbudowani i odżywieni żołnierze. Mieli na sobie grube watowate kombinezony i ocieplane filcowe buty na nogach. Jeden z nich miał czarną, krótko przystryżoną czuprynę, twarz smagłą i pociągłą. Wyglądał na mulata. Drugi zaś miał włosy jasne, również krótko ostrzyżone, twarz białą i wyblakłą, oczy jakby wystraszone, które biegały w różne strony. Ręce i twarz były podrapane i krwawiły – widocznie musiał spaść na drzewo i doznał lekkich obrażeń. Tłum gapiów zebrał się w gospodzie, dokąd ich przyprowadzono i spoglądał na nich z zaciekawieniem, jak na istoty z innej planety. Chciano z nimi rozmawiać, ale bezskutecznie. Nikt nie znał języka angielskiego, więc dano sobie spokój. Częstowano ich piwem, gdyż dzień był nadzwyczaj ciepły, ale odmówili. Wszystkich nas, cudzoziemców, zaskoczyło uprzejme ich traktowanie, gdyż znaleźliśmy przykłady bardzo brutalnego odnoszenia się do jeńców polskich czy radzieckich. Po upływie pewnego czasu przyjechał wojskowy samochód. Załadowano ich do niego i odjechano w kierunku powiatu Volkemark.

W dzień i w nocy odbywały się naloty bombowe. Z oddali słyszeć było detonacje wybuchających bomb, widać też było łuny płonących miast. Napawało nas to dumą i radością. Było to jak gdyby pewnym rewanzem za nasze spalone i zniszczone miasta. Cisnęły się myśli do głowy, że dobrze im tak, należy im się to za nas. A najbardziej pocieszające było to, że koniec wojny zbliżał się do milowymi krokami, że nadchodzi wyzwolenie, upragniona wolność. I rzeczywiście, pewnego dnia przyjechała ta wolność na koniach do naszej wioski. Był to konny zwiad wojska bułgarskiego. Zjawili się we wsi zmienacka, niepostrzeżenie, jakby spadli z nieba. Objechali wieś od końca do końca i zatrzymali się u naszego bauera. Widocznie dlatego, że był u nas gasthaus i było co zjeść i wypić. Trzeba stwierdzić, że apetyty mieli nie byle jakie i nie należeli do wybrednych. Pili wszystko, co tylko się nadawało: piwo, wino, kompoty ze słoików i moszcz. Kiedy już dobrze mieli w czubach, dostrzegli nas – robotników, więc zbrali wszystkich w jadalni i zaczęli wypytywać, jak nam się tu powodziło, czy nie chciało się nam

jeść i czy gospodarze byli dla nas dobrzy, bo jeżeli nie, to ich rozstrzelają. Już ich postawili pod ścianą z rękami podniesionymi do góry. Bardzo się tym widokiem przestraszyliśmy, bo nikt z nas nie chciał mieć na sumieniu życia dwojga ludzi. Wszyscy więc zgodnie stwierdzili, że było nam tu dobrze, że gospodarze byli dobrzy (co niezupełnie pokrywało się z prawdą), że nie byliśmy głodni, że trzeba ich puścić wolno. Nasze zeznania i prośby uratowały im życie. Puszczono ich wolno.

Mnie najbardziej przypadł do gustu jeden żołnierz z tej grupy. Wojak w pełni tego słowa znaczeniu, ale dziecko jeszcze, chłopak prawie w moim wieku, mający około 10-11 lat. Ubrany był w mundur i co najważniejsze – miał prawdziwą broń oraz swojego konia. Nie posiadałem się z radości, nie odstępowałem go na krok, a jak mu zazdrościłem! Służył w tym oddziale razem ze swoim ojcem. Z rozmowy, jaką z nim przeprowadziłem wynikało, że nie miał ani matki, ani żadnej bliższej rodziny. Wobec tego ojciec zmuszony był zabrać go ze sobą. Był tzw. synem pułku. Ciągle dręczyła mnie myśl, dlaczego to ja nie mogę być takim żołnierzem i służyć razem z ojcem w wojsku. Bardzo chciałem mieć jakąś broń, więc on podarował mi mały, kieszonkowy, ale prawdziwy pistolet, na prawdziwe naboje. Ojciec jego oczywiście wyraził na to zgodę. Mówił, że to prawdziwa „szóstka”. Ale niestety, wszystko co przyjemne szybko się kończy. Tak i nasza przyjaźń się skończyła. Oddział odjechał, a wróciła brutalna rzeczywistość. Wojna jeszcze się nie skończyła. Działo się to w marcu lub na początku kwietnia 1945 roku. Trwały jeszcze działania walki. Bardzo żał mi było kochanego kolegi. Zdawało mi się, że znamy się od dawna, od dziecka, jak byśmy się razem wychowywali. Aż tu nagle odjechał. Najgorsze jednak nastąpiło wtedy, kiedy ojciec zabrał mi ulubiony pistolet. Musiał go gdzieś dobrze ukryć przede mną, bo już nigdy go nie widziałem. Jak już zaznaczyłem wcześniej, była jeszcze wojna i za posiadanie broni groziła kara śmierci, szczególnie cudzoziemcowi. Wolność nadeszła dopiero za około miesiąc lub półtora.

Pewnego dnia wkroczyły do naszej wioski regularne oddziały pancerne i piechota angielska. Teraz już wiedzieliśmy na pewno, że wolność przyszła na zawsze. Cieszono się ogromnie, wiwatowano, śpiewano wesołe i skoczne piosenki, tańczono, a co niektórzy uczcili to wypiciem większej ilości moszczu. Cieszyli się też prości miejscowi ludzie, ufni, że ich najbliżsi niebawem powrócą do domów. My natomiast byliśmy uszczęśliwieni, że wreszcie skończył się ten koszmar, że powrócimy do swojej Ojczyzny, do swoich domów. Niestety, nie dane nam było tak szybko wrócić, jak się tego spodziewaliśmy, jak tego pragnęliśmy. Los jeszcze raz spletał nam figla. Znowu znaleźliśmy się na obcej ziemi – we Włoszech.

W kilka dni po wkroczeniu wyzwoleniczych wojsk alianckich ogłoszono odezwę do wszystkich obcokrajowców: Polaków, Rosjan, Ukraińców, Francuzów, aby opuszczali gospodarzy i stawali się na punktach zbornych w celu wyjazdu do swoich krajów. Zaczęło się gorączkowe pakowanie. Wydawało się, że mamy niewiele rzeczy. Podczas pakowania okazało się jednak, że jest tego sporo. I to żał zostawić – i tamtego szkoda, bo wszystko po wojnie może się w domu przydać, szczególnie z odzieży. Powstały z tego ogromne i bardzo ciężkie toboły. Kto je będzie dźwigał? Zaczęto więc segregować rzeczy, oddzielać bardziej wartościowe od mniej wartościowych. Zabraliśmy w końcu tyle, ile się dało zmieścić i udźwignąć. Byliśmy objuczeni tobołami i pakunkami jak wielbłądy. Znowu zaczęła się gehenna dźwigania przerastających nasze siły toreb, długich, nie kończących się marszów i wędrówek. Bauer założył konie do wozu i podjechał pod nasze mieszkanie. Załadowaliśmy toboły na furmankę. Nastąpił moment pożegnania. Była to najbardziej przykra chwila. Mimo ciężkiej niedoli, jaką zgotował nam okupant, żał było odjeżdżać ze świadomością, że rozstajemy się na zawsze. Przyzwyczailiśmy się do wszystkiego: do budynków, okolicy, do tych wiejskich ludzi, z którymi bądź co bądź spędziliśmy blisko dwa lata. Nawet do krów i koni. Do pięknych wysokich gór, do pola i podwórka – jakby to było nasze. Odjeżdżaliśmy jednak z zadowoleniem, z wiarą, że już niedługo znajdziemy się na swoich śmieciach. Różne myśli krążyły po głowach. Do czego wracamy? Może tam nic nie ma? Może nasze domy spalone? Z czego będziemy żyć? Jaki czeka nas los? Co teraz przed nami? Takie i inne pytania nachodziły nasze myśli.

Punkt zborny mieścił się w miejscowości stanowiącej gminę. Tu nas bauer rozładował, pożegnał się z nami i odjechał do domu. W obozie tym spotkaliśmy wielu znajomych z naszego pobytu w Austrii. Nastąpiły serdeczne powitania, jak gdyby to byli najbliżsi członkowie rodziny, Pocałunkom i uściskom nie było końca. Cieszyliśmy się, że wszyscy żyjemy, że jesteśmy zdrowi i przetrwaliśmy jakoś ten koszmarny czas. Nareszcie szczęśliwi i cali wracamy do domu. Mieliśmy takie uczucie, jakbyśmy się jeszcze raz narodzili, a to co przeżyliśmy, było tylko jakimś snem. Zaczęły się opowiadania, o tym jak przeżyliśmy te dwa lata. Każdy chciał jak najwięcej przekazać drugiemu ze swoich wspomnień. Taki stan podniecenia utrzymywał się w obozie przez kilka dni, bo przywożono coraz to nowych znajomych i krewnych. Obóz zapełniał się i pęczniał. Zgromadzono w nim setki, a może i więcej ludzi. Nikt się nie nudził, każdy był czymś zajęty. Opiekę nad obozem sprawowali angielscy żołnierze, nasi wyzwolicieli. Życie toczyło się wartko i po wojskowemu. Posiłki też były wojskowe, smaczne i pod dostatkiem. Niektórzy dopiero tutaj, po dwóch latach niewoli, najedli się do syta. Zaczęły się komplikacje żołądkowe. Wkroczyła służba sanitarna i przestrzegała przed przejadaniem się. Organizmy po dłuż-

szym okresie głódówki nie mogły przestawić się od razu na nową i inną normę żywieniową. Należało to robić stopniowo, delikatnie, poczynając od małych porcji i systematycznie je zwiększając.

Pewnego majowego dnia poinformowano wszystkich przebywających w obozie, że zostanie podstawiony pociąg towarowy, do którego należy się załadować z całym swoim majątkiem, jaki kto posiada i że wreszcie pojedziemy do domu. Rozpoczął się załadunek. Przypomniało mi się, jak to robiliśmy jadąc w tę stronę. Jakże ten obecny załadunek różnił się od tamtego, przy którym słychać było ujadanie psów i krzyki esesmanów. Tutaj żołnierze są inni, uprzejmi, dobrzy, nie krzyczą i nie popychają kolbami – wręcz przeciwnie, noszą dzieci i ciężkie toboły, załadowują do wagonów, osobom starszym pomagają przy wchodzeniu. Jakież to wszystko inne! Jak się zmieniło! Nie jedziemy w nieznaną, ale wracamy do domu, do Polski, do swoich.

Gdy już ukończono załadunek, rozdano suchy prowiant na drogę, przestrzegając jeszcze raz przed przejeżdżaniem się. Wczesnym popołudniem pociąg ruszył. Wyglądaliśmy maleńkimi okienkami, żegnając austriackie krajobrazy i piękne Alpy. Jakież uczucie przepelniało nasze serca? Oto po prawie dwóch latach niewoli, spracowani, wymizerowani, po różnych kolejach losu, wreszcie wracamy do domu. Nikt wtedy nie myślał, jaka ta Polska będzie; dobra czy zła, sprawiedliwa czy nie. Grunt, że była wolna, że będzie nasza. Wielka radość napelniała nasze serca. Śpiewano piosenki. Chłopcy grali na harmonijkach ustnych. Jechał „wesoły pociąg”. Każdy po swojemu przeżywał i każdy po swojemu się cieszył. Pociąg od czasu do czasu zatrzymywał się na niektórych stacjach, aby ludzie mogli nabrać wody i załatwić potrzeby fizjologiczne. Po kilku dniach podróży co starsi pasażerowie zaczęli coś podejrzewać, czegoś się domyślać. Coś tu nie tak. Pociąg nie jedzie w tym kierunku, co powinien. Miny nasze zrzędy, nastrój w pociągu się zmienił. Ktoś nas okłamał, ktoś zrobił w przysłowiowego „konia”. Nie jedziemy do Polski, a zupełnie w innym kierunku, na południowy wschód. Ale dokąd? Tego nikt nie wiedział i nikt nie umiał powiedzieć. Aż tu pewnej nocy pociąg zatrzymał się na jakiejś stacji kolejowej. Wszyscy rzucili się do drzwi, aby nabrać wody i wyskoczyć za swoją potrzebą. I oto naszym oczom ukazał się widok jakby z bajki: polscy żołnierze! Najprawdziwsi polscy żołnierze! Mówiący po polsku, z polskimi orzełkami, tyle że nie na rogatywkach, ale na beretach: Coś niesamowitego! W pierwszej chwili niczego nie rozumieliśmy, niczego nie mogliśmy się domyślić. Gdzie jesteśmy? Co to się stało? Kiedy trochę ochłonęliśmy z wrażenia, okazało się, że jesteśmy nie w Polsce, ale we Włoszech, w mieście Udine. Przywieziono nas do Włoch. Ale po co? Turystycznie? Czy po to, abyśmy zobaczyli papieża? Dopiero po kilku dniach wszystkiego się dowiedzieliśmy. Przywieziono nas do armii generała Andersa. Ale po co wszystkich? Po co całe rodziny? Tego nie mogliśmy zrozumieć.

Rozlokowano nas w specjalnym obozie pod namiotami w mieście Forli. Było tu już dużo ustawionych namiotów, zamieszkałych i nie zamieszkałych. W każdym z nich umieszczano po kilka rodzin. Od razu sporządzono spis wszystkich nowo przybyłych, rozdano posiłek z kuchni wojskowej. Pamiętam, że pierwszego dnia był biały chleb, którego już od dawna nie mieliśmy w ustach oraz konserwy mięsne i kawa. Później korzystaliśmy już z wyżywienia kuchennego. Trzeba stwierdzić, że jadłospis był dobry, potrawy smaczne i w dostatecznych porcjach. Każdy mógł najeść się do syta. Czerwony Krzyż rozdawał odzież i obuwie, dla każdego coś tam się znalazło. Życie toczyło się monotonicznie, nie było żadnych zajęć ani rozrywek. Czas spędzano na spotkaniach z polskimi żołnierzami, na rozmowach i dyskusjach z nimi, dlaczego i po co nas tu przywieziono. Odpowiadali, że we Włoszech stacjonują polskie siły zbrojne pod dowództwem generała Andersa, walczące na froncie zachodnim i podległe rządowi londyńskiemu.

W trzecim dniu naszego pobytu w obozie ogłoszono pobór do wojska. Brano mężczyzn, ale tylko samotnych, bez rodzin. Nastąpiły pożegnania i płacz kobiet, jak to zwykle bywa przy poborze do wojska.

Jak w obozie w Zamościu największą plagą były insekty, tak tutaj – komary. Spaliśmy na łóżkach przykrytych gęstymi siatkami. Komary mimo to któreśdy się przedostawały i gryzły jak szalone. Wielu ludzi, a szczególnie dzieci, miało ciało pogryzione i w samych bąblach. Obóz był zlokalizowany w pobliżu terenów podmokłych i stąd tyle komarów. Służba sanitarna miała pełne ręce roboty. Chorowały przeważnie dzieci. Niektóre nawet umierały. Powstała panika wśród ludzi. Zaczęły się spory i kłótnie z władzami. Po co nas tu przywieziono? Chyba po to, aby nasze dzieci wymarły. Zaczęto domagać się przeniesienia do innej miejscowości, co też po pewnych przygotowaniach i po jakimś czasie uczyniono. Obóz w Forli zlikwidowano, a ludzi podzielono na kilka mniejszych obozów, w których zakwaterowano już nie w namiotach, ale w budynkach mieszkalnych. Nas przywieziono do małego miasteczka Riccione i umieszczono w dużym budynku murowanym, najprawdopodobniej szkolnym, gdyż pokoje były podobne do sal lekcyjnych. Dom usytuowany był nad samym Adriatykiem. Z okna roztaczał się widok na morze. Cóż to była za frajda! Woda w morzu była ciepła, olbrzymia plaża, mnóstwo ludzi i w morzu i na lądzie. Dzieci całymi dniami zażywały kąpieli morskiej i słonecznej, tworząc różne budowle z piasku. Tu już zorganizowano nawet szkołę w jakimś baraku. Uczono czytać, pisać i rachować w zakresie od I do IV klasy. Starszych klas nie było, gdyż dzieci powyżej dwunastu lat zmobilizowano w organizacji młodzieżowej, zwanej popularnie junakami. Kilku starszych ode mnie chłopców służyło

właśnie w junakach. Strasznie im zazdrościłem. Za to kąpeli w morzu nie żalowaliśmy sobie. Całymi dniami moczyliśmy się w wodzie i prażyliśmy się na plaży, przerywając te wywczasy jedynie na czas pobytu w szkole i spożywanie posiłków. Ten obóz wspominam najmilej. Wspaniały czas, którego już nigdy nie zaznałem do chwili obecnej i chyba już nie zaznam. Było tu bardzo dużo wojska amerykańskiego, angielskiego i polskiego. Zawiązywaliśmy z żołnierzami znajomości. Upał był straszny, a na ulicach mnóstwo różnych straganów z owocami, z lodami. Chciałoby się zjeść, ale niestety nie mieliśmy pieniędzy. I tu pomocna okazała się przyjaźń żołnierzy, którzy wysyłając nas po lody, owoce lub papierosy dawali nam pieniądze i nie brali nigdy reszty. W ten sposób zarabialiśmy na siebie, na lody lub arbuzy, czy pomarańcze, a przez cały dzień uzbierała się czasami spora sumka. Jednak co dobre szybko się kończy. Tak było i tym razem.

Po trzymiesięcznym pobycie w Riccione przeniesiono nas do innego miasta, o wiele większego – Reggio Emilia. Był to obóz dla Polaków, którzy wyrazili chęć wyjazdu do Polski, a nie chcieli jechać z Andersem do Anglii. Sytuacja tutaj była wyraźnie gorsza. Wyżywienie stało się o wiele słabsze, traktowano nas jak intruzów, komunistów, jak ludzi gorszej kategorii, bo chcemy wracać do komunistycznego kraju. Przestał działać i opiekować się nami Czerwony Krzyż. Nie chodziliśmy już do szkoły, nie wolno było opuszczać bram obozu. Nie mogliśmy swobodnie poruszać się po mieście, trzeba się było zwalniać. Nie mieliśmy też włoskich lirów, aby móc cokolwiek kupić, choćby najdrobniejszą rzecz – owoce czy loda. Zmienione warunki bytowe odczuwaliśmy jako bardzo przykre, chociaż były bez porównania lepsze od tych, jakie mieliśmy w Austrii.

W tym obozie przygotowywano do wyjazdu do kraju, nie oszczędzając jednak wrogiej propagandy o sytuacji w Polsce, „gdzie mamy rząd ruski”. Część rodzin, w których wszyscy byli zdrowi, udała się do obozu na południe Włoch, w mieście Bari. Znajdował się tam punkt zborny dla tych, którzy jechali do Anglii. W naszej rodzinie ojciec ciężko zachorował. Nie było więc żadnego sensu jechać do obcego kraju, gdzie trzeba ciężko pracować, dolary nie leżą na ulicy, nikt też za darmo ich nie daje. W tej sytuacji zdecydowano, że jedziemy do kraju.

W grudniu 1945 roku sformowano transport kolejowy i ruszyliśmy w drogę powrotną do Polski. Podróż odbywała się pociągiem towarowym, wobec czego do wygodnych nie należała, tym bardziej, że trwała dwa tygodnie. Do domu wróciliśmy akurat przed świętami Bożego Narodzenia. Tak zakończyła się nasza okupacyjna wędrówka po Europie.